

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 13. I. 1952 r.

Nr. 2 (336)

MOSKWA (PAP). Agencja TASS ogłosiła następującą depeszę J. W. Stalina do naczelnego redaktora agencji „Kredo”, Kiisi Iwamoto:

Szanowny panie K. Iwamoto! Otrzymałem pańską depeszę z prośbą o przesłanie noworocznego orędzia narodom japońskiemu.

Wśród działaczy radzieckich nie ma takiej tradycji, by premier obcego państwa zwracał się do narodu innego państwa ze swymi życzeniami. Jednakże głębokie współczucie narodom Związku Radzieckiego dla narodu japońskiego, na który spadły nieszczęścia w związku z obcą okupacją, zmusza mnie do zrobienia wyjątku od reguły i do zadośćuczynienia pańskiej prośbie.

Proszę przekazać narodom japońskiemu, że życzę mu wolności i szczęścia, że życzę mu całkowitego powolenia w jego meźnej walce o niezawisłość swjej ojczyzny.

Narody Związku Radzieckiego same w przeszłości doświadczyły okropności obcej okupacji, w której brali również udział imperialiści japońscy. To też rozumieją one w pełni cierpienia narodu japońskiego, głęboko współczują mu i wierzą, że zdoła odrodzić i niezawisłość swjej ojczyzny, podobnie jak zdobyło to w swoim czasie narody Związku Radzieckiego.

Życzę robotnikom japońskim wyzwolenia od bezrobocia i niskiej płacy roboczej, zniesienia wysokich cen towarów powszechnego użytku i powolenia w walce o zachowanie pokoju.

Życzę chłopom japońskim wyzwolenia od bezrobocia i małoobrotowości, zniesienia wysokich podatków i powolenia w walce o zachowanie pokoju.

Życzę całemu narodowi japońskiemu i jego inteligencji całkowitego zwycięstwa sił demokratycznych Japonii, ożywienia i rozwoju życia ekonomicznego kraju, rozkwitu kultury narodowej, nauki, sztuki oraz powolenia w walce o zachowanie pokoju.

31 grudnia 1951 r.

Z poważaniem
(—) J. STALIN

TADEUSZ ORLEWICZ

Japonia wczoraj i dziś

W roku 1853 u wejścia do portu tokijskiego zarzucił kotwicę „cztery okręty o niedobrym wyglądzie”. Była to eskadra amerykańska. Pod jej dowództwem Mac Arthur i Riogway, Dullesów i Dodgeów narzucił Japonii pierwszy traktat handlowy, mając nadzieję, że kraj samurajów i szogunów, kraj średniowiecznego feudalizmu stanie się dogodnym, bezpiecznym i pewnym rynkiem zbytu dla amerykańskich towarów zysku.

Szybki rozwój handlu z zagranicą powodował w Japonii wzrost siły znaczenia rodu, który w miejscowej burżuazji. W roku 1868 kraj przechodził rewolucję burżuazyjną. Nowy porządek rzeczy oparł się na sojuszu burżuazji i awerskich feudalów. Do feudalnego państwa ludu, pracującego Japonii, przetrwał kapitalizm. Władztwo kapitalu wyrastało więc w niewolniczych i feudalnych warunkach pracy i bytowania milionów Japonczyków, zachowując te warunki aż po dzień dzisiejszy. Japoński kapitalizm, rośnie w wielkie przedsięwzięcia przemysłowe, wyposażone w nowoczesne zdobycze techniki produkcyjnej, w potężne inwestycje energetyczne. Z drugiej zaś strony charakteryzują go silniejsze, niż gdzie indziej, przeżytki form przedkapitałistycznego wyzysku i to nie tylko na wsi ale i w szybko rosnących liczących miastach — obywateli.

Życie się sprężało do pracy w fabrykach, niesplacony dług pociąga za sobą utratę wolności osobistej, noc jest bardzo krótka dla odpoczynku, dzień pracy coraz dłuższy, a wynagrodzenie najniższe na świecie. Szybkie, niż w jakimkolwiek innym kraju, kapitalizm w Japonii w konkretnych warunkach wchodził w stadium swego rozkładu. Imperializm japoński jawił się na arenie światowej w tym okresie, w którym zakończył się w zasadzie podział świata i rynków światowych pomiędzy główne mocarstwa.

Z feudalnej Japonii wysłannicy Wall - Street próbowali stworzyć amerykańską kolonię. Nie udało się to im wcale pełni, bo młody, japoński imperializm podjął skuteczną walkę konwencjonalną ze swoimi opiekunami, nie tylko na kontynencie azjatyckim i wyspach przybrzeżnych, ale stał się groźnym współwalcem w walce na rynkach światowych.

Napada na wyspy rosyjskie, na Chiny, zabierając im Tawan. W roku 1905 przeprowadził zwycięską wojnę z Rosją carską. Starty się wtedy dwie siły światowe — kapitalizm i schorzone feudalne — kapitałistyczne imperium Mikołaja II skapitulowało. W roku 1910 Korea, kraj Porannej Świeżości, pada pod butem najazdu japońskiego. Nowa wojna przynosi Japonii — nowe bazy w Chinach i ogromne zyski dla dostawców wojennych.

Rok 1918—1922. Młoda władza radziecka toczy ciężkie boje ze zbrojnym najazdem najmłodszych państw kapitalistycznych. Na Syberii atakują ją japoński imperializm, niosąc pożogę, śmierć i tortury dla robotników i chłopów syberyjskich. Jest już wtedy na tyłach japońskich Arthur Mac Arthur, późniejszy „wielki szogun” i „bohater” z Korei. Ale i on i jego japońscy przyjaciele zniechęceni szybciej musieli uciekać z Syberii, niż do niej doszli.

I znowu rok 1931 — początek paroletniej zbrojnej grabieży wielkiej części Chin. Rok 1938 i rok 1939 — nieudana próba ataku zbrojnego na

Kraj Rad, raz w okolicach Władywostoku, drugi raz — od granic Mongolskiej Republiki Ludowej.

Japońska klasa robotnicza żyła tymczasem w coraz potworniejszych warunkach, chłopstwo ugnano się pod ciężarem wyzysku feudalnego, sprzymierzonego w grabież z kapitałem finansowym. Rynek wewnętrzny stale się kurczył w swojej sile nabywczej. I tak to niezwykle niska wartość siły roboczej i niezwykle niska stopa życiowa klasy robotniczej, będąca główną siłą japońskiego imperializmu w walce o jego rynki, stały się równocześnie jego słabością. Wyjście z sytuacji imperializm japoński — widział jedynie w nowych podbojach, stąd montaż drażliwej osi Berlin — Rzym — Tokio, obłądne sny o nowym podziale świata.

Na polach bitewnych w r. 1945 Armia Radziecka zdruzgotała armię kwantunską, rzeń siły militarne japońskiego imperializmu. Japonia skapitulowała, Azja oddechnęła.

„Ameryce potrzeba wiernego i złego psa, który by ujadł nad zatoką tokijską” — powiadał panowie z Wall - Street. Nie rezygnuje więc USA z Japonii, jako zandarma Azji, (jako głównej swojej bazy wypadowej na Pacyfiku przeciwko ruchom narodowo - wyzwolenczym Azji, przeciwko wielkiemu Związkowi Radzieckiemu. Od chwili, gdy Mac Arthur, stary „przyjaciel” japońskich grabieżców wyładował w Tokio, nie było co do tego wątpliwości. San Francisco postawiło kropkę nad „i”. Złamane zostały przez amerykańskich najeźdźców wszelkie umowy międzynarodowe, w nieważność zostały obrócone, prawa narodu japońskiego do wolności i pokoju.

Rok z rokiem najpierw Mac Arthur, a później Ridgway odradzały w tym kraju wszystkie siły agresji i wstępczności, restaurując potęgę przemysłu zbrojeniowego Japonii, ugruntywując równocześnie i przede wszystkim sferę przemysłową wpływów gospodarczych i politycznych USA.

Koncerny pozostały japońskimi, ale ściśle kontrolę nad nimi objęły nowojorskie banki. Japonia znowu przedstawiła się w obóz przygotowany do nowej zawieruchy wojennej. Układ w San Francisco stał się wyprzedzając Japonii, bezwarunkową i bezapelacyjną jej kapitulacją na rzecz USA.

I znowu wrócili do żerowisk japońscy przestępcy wojenni, do żerowisk, okrojonych przez żarłoczne wilki nad Potomaku. Znowu dymią zbrojeniowe fabryki japońskie, znowu pracują japońskie stocznie. Cały przemysł jest nastawiony na produkcję według dyktatu USA.

Koncerny japońskie, usłużnie oddające ogromną część swych dochodów Morganom czy Rockefellerom, pragną jednak zachować dla siebie również poważne jak i przed tym zyski. Ten zdwojony wyzysk wali się całym swym ciężarem na barki klasy robotniczej i pracującego chłopstwa. Dlatego Amerykanie, mianujący się ordonownikami kultury i cywilizacji, zachowali w Japonii nie tylko imperialistyczne formy wyzysku, ale również warunki pracy i bytu z XVI wieku, feudalne i niewolnicze.

Niezwykle niska była płaca robocza w Japonii przed wojną. Dziś, po 6-ciu latach rządów USA siła nabywcza robotnika japońskiego stanowi zaledwie 50 proc. tej głodowej stawki. 10 milionów bezrobotnych li- (Dokończenie na str. 7)

Z NOWOROCZNEGO ORĘDZIA PREZYDENTA R. P.

Obywateli!

Wykonaliśmy pomyślnie i z nadwyżką zadania pierwszych 2-ch lat naszego wielkiego i historycznego Planu 6-letniego — planu uprzemysłowienia Polski. Wstępujemy w rok trzeci, który będzie rokiem przełomowym dla zwycięskiego wypełnienia całego planu. Z jeszcze większą więc ofiarnością oddajemy ojczyźnie swą pracę, pomnażając jej siły!

Szczegółowej wagi nabiera w tym okresie zadanie zwiększenia naszej produkcji rolnej. Jej wzrost pozostaje dotąd znacznie w tyle za wzrostem produkcji przemysłu. Stwarza to trudności dla całego naszego życia gospodarczego i wymaga mobilizacji wszystkich naszych sił dla podciągnięcia naprzód rolnictwa. Poważne zwiększenie produkcji rolnej możemy osiągnąć przez lepsze wykorzystanie ziemi i bardziej racjonalną jej uprawę, przez obfitsze nawożenie, selekcję nasion, właściwy płodźmian, walkę z chwastami i szkodnikami roślin, przez głębsze stosowanie w praktyce nowoczesnej wiedzy rolniczej, przede wszystkim zaś przez unowocześnienie gospodarki w rolnictwie, przez szerszy rozwój spółdzielni produkcyjnych. Możemy osiągnąć poważne podniesienie plonów i hodowli w naszym rolnictwie — mamy wszystkie ku temu warunki. Musimy wzmocnić zaopatrzenie rolnictwa w maszyny, traktory, w sprzęt rolniczy, w nawozy sztuczne. Z większą niż dotąd energią win-

niśmy dopomagać wsi w upowszechnianiu wiedzy rolniczej, w rozwijaniu spółdzielczych form gospodarowania, w wykorzystaniu doświadczeń przodujących rolników polskich, którzy uzyskali już dzięki zespolowej pracy znaczne zwiększenie plonów.

Bracia Chłopi!

Osiągnięcie przełomu we wzroście produkcji rolnej i w rozwoju hodowli od Was przede wszystkim zależy. Pogłębiajcie swą wiedzę rolniczą — państwo ludowe okaże Wam w tej dziedzinie wszechstronną pomoc. Organizujcie się i jednoczcie, aby wykorzystywać na swych polach nowoczesne maszyny rolnicze — pomagajcie Wam w tym państwowe ośrodki maszynowe! Już dziś czynicie energiczne przygotowania do wiosennego siewu. Zbiorowym wysiłkiem i gromadką pomocą wykorzystajcie wszelkie odłogi. Walczcie ze spekulacyjnymi tendencjami kulactwa. Pomagajcie państwu ludowemu w zaopatrzeniu ludności miast w produkty rolne, a wsi w towary przemysłowe. Zabezpieczajcie terminowo wykonanie obowiązkowych dostaw.

W dniu noworocznym cały naród wyraża gorące uznanie i podziękę wszystkim braciom chłopom, którzy wykonali w terminie swe obowiązki względem państwa, przyczyniając się w ten sposób do wzrostu sił naszej Ojczyzny!

STANISŁAW CIEŚLAK

CHŁOPI PISZĄ...

Nowe zadania, jakie stanęły przed nami w roku 1952, decydują o naszym dalszym rozwoju, o naszym dalszym sukcesie. Właśnie dlatego trudnym, trzecim roku naszej sześciolatki, żywo przez każdego świadomego obywatela odczuwana potrzeba przezwyciężenia dotychczasowych braków w zaopatrzeniu, kapitałistycznego jeszcze — okresu naszych dziejów, nabrały na ostrości w drugim półroczu 1951 roku — wszystkie ku temu warunki. Musimy wzmocnić zaopatrzenie rolnictwa w maszyny, traktory, w sprzęt rolniczy, w nawozy sztuczne. Z większą niż dotąd energią win-

niśmy dopomagać wsi w upowszechnianiu wiedzy rolniczej, w rozwijaniu spółdzielczych form gospodarowania, w wykorzystaniu doświadczeń przodujących rolników polskich, którzy uzyskali już dzięki zespolowej pracy znaczne zwiększenie plonów.

Wykonaliśmy pomyślnie i z nadwyżką zadania pierwszych 2-ch lat naszego wielkiego i historycznego Planu 6-letniego — planu uprzemysłowienia Polski. Wstępujemy w rok trzeci, który będzie rokiem przełomowym dla zwycięskiego wypełnienia całego planu. Z jeszcze większą więc ofiarnością oddajemy ojczyźnie swą pracę, pomnażając jej siły!

Szczegółowej wagi nabiera w tym okresie zadanie zwiększenia naszej produkcji rolnej. Jej wzrost pozostaje dotąd znacznie w tyle za wzrostem produkcji przemysłu. Stwarza to trudności dla całego naszego życia gospodarczego i wymaga mobilizacji wszystkich naszych sił dla podciągnięcia naprzód rolnictwa. Poważne zwiększenie produkcji rolnej możemy osiągnąć przez lepsze wykorzystanie ziemi i bardziej racjonalną jej uprawę, przez obfitsze nawożenie, selekcję nasion, właściwy płodźmian, walkę z chwastami i szkodnikami roślin, przez głębsze stosowanie w praktyce nowoczesnej wiedzy rolniczej, przede wszystkim zaś przez unowocześnienie gospodarki w rolnictwie, przez szerszy rozwój spółdzielni produkcyjnych. Możemy osiągnąć poważne podniesienie plonów i hodowli w naszym rolnictwie — mamy wszystkie ku temu warunki. Musimy wzmocnić zaopatrzenie rolnictwa w maszyny, traktory, w sprzęt rolniczy, w nawozy sztuczne. Z większą niż dotąd energią win-

niśmy dopomagać wsi w upowszechnianiu wiedzy rolniczej, w rozwijaniu spółdzielczych form gospodarowania, w wykorzystaniu doświadczeń przodujących rolników polskich, którzy uzyskali już dzięki zespolowej pracy znaczne zwiększenie plonów.

Wykonaliśmy pomyślnie i z nadwyżką zadania pierwszych 2-ch lat naszego wielkiego i historycznego Planu 6-letniego — planu uprzemysłowienia Polski. Wstępujemy w rok trzeci, który będzie rokiem przełomowym dla zwycięskiego wypełnienia całego planu. Z jeszcze większą więc ofiarnością oddajemy ojczyźnie swą pracę, pomnażając jej siły!

Szczegółowej wagi nabiera w tym okresie zadanie zwiększenia naszej produkcji rolnej. Jej wzrost pozostaje dotąd znacznie w tyle za wzrostem produkcji przemysłu. Stwarza to trudności dla całego naszego życia gospodarczego i wymaga mobilizacji wszystkich naszych sił dla podciągnięcia naprzód rolnictwa. Poważne zwiększenie produkcji rolnej możemy osiągnąć przez lepsze wykorzystanie ziemi i bardziej racjonalną jej uprawę, przez obfitsze nawożenie, selekcję nasion, właściwy płodźmian, walkę z chwastami i szkodnikami roślin, przez głębsze stosowanie w praktyce nowoczesnej wiedzy rolniczej, przede wszystkim zaś przez unowocześnienie gospodarki w rolnictwie, przez szerszy rozwój spółdzielni produkcyjnych. Możemy osiągnąć poważne podniesienie plonów i hodowli w naszym rolnictwie — mamy wszystkie ku temu warunki. Musimy wzmocnić zaopatrzenie rolnictwa w maszyny, traktory, w sprzęt rolniczy, w nawozy sztuczne. Z większą niż dotąd energią win-

niśmy dopomagać wsi w upowszechnianiu wiedzy rolniczej, w rozwijaniu spółdzielczych form gospodarowania, w wykorzystaniu doświadczeń przodujących rolników polskich, którzy uzyskali już dzięki zespolowej pracy znaczne zwiększenie plonów.

Wykonaliśmy pomyślnie i z nadwyżką zadania pierwszych 2-ch lat naszego wielkiego i historycznego Planu 6-letniego — planu uprzemysłowienia Polski. Wstępujemy w rok trzeci, który będzie rokiem przełomowym dla zwycięskiego wypełnienia całego planu. Z jeszcze większą więc ofiarnością oddajemy ojczyźnie swą pracę, pomnażając jej siły!

Szczegółowej wagi nabiera w tym okresie zadanie zwiększenia naszej produkcji rolnej. Jej wzrost pozostaje dotąd znacznie w tyle za wzrostem produkcji przemysłu. Stwarza to trudności dla całego naszego życia gospodarczego i wymaga mobilizacji wszystkich naszych sił dla podciągnięcia naprzód rolnictwa. Poważne zwiększenie produkcji rolnej możemy osiągnąć przez lepsze wykorzystanie ziemi i bardziej racjonalną jej uprawę, przez obfitsze nawożenie, selekcję nasion, właściwy płodźmian, walkę z chwastami i szkodnikami roślin, przez głębsze stosowanie w praktyce nowoczesnej wiedzy rolniczej, przede wszystkim zaś przez unowocześnienie gospodarki w rolnictwie, przez szerszy rozwój spółdzielni produkcyjnych. Możemy osiągnąć poważne podniesienie plonów i hodowli w naszym rolnictwie — mamy wszystkie ku temu warunki. Musimy wzmocnić zaopatrzenie rolnictwa w maszyny, traktory, w sprzęt rolniczy, w nawozy sztuczne. Z większą niż dotąd energią win-

niśmy dopomagać wsi w upowszechnianiu wiedzy rolniczej, w rozwijaniu spółdzielczych form gospodarowania, w wykorzystaniu doświadczeń przodujących rolników polskich, którzy uzyskali już dzięki zespolowej pracy znaczne zwiększenie plonów.

Ludowej nie ma prawa ograbić chłopów z owoców jego pracy, pozwała rolnikowi skupić całą swą uwagę na podnoszenie własnych kwalifikacji zawodowych („trzeba pracować na roli, nie tylko rękami, ale i głową”) — mówi ob. Józef Rogowski, nad tym jak więcej wydobyć z ziemi i z inwentarza żywego, jak lepiej wykorzystywać wszechstronną pomoc władzy ludowej, a zważnia nareszcie rolnika od tak charakterystycznej dla okresu przedwojennego bezustannej troski, o to, co kiedy i komu sprzedać, aby wyjść na swoje i nie stracić.

Coraz więcej chłopów zdaje sobie jednak sprawę, że cała ich osobista praca wiąże się jak najściślej

całej gromady, gminy, powiatu, kraju.

„Nie wystarczy samemu się wywiązać — pisze ob. Pluta Z. — i dlatego u nas w gromadzie prowadziliśmy zorganizowaną agitację, a wielu z dumą podkreśla, że nie tylko oni wywiązali się ze swych obowiązków w terminie, ale i inni, że cała ich gromada, gmina, powiat przoduje w całej akcji, a nie znajduje się w tyle.

Wprawdzie, zdarzają się jeszcze głosy domagające się nie zawsze uzasadnionych indywidualnych ulg i przywilejów; ale górują nad nimi takie wypowiedzi, jak ob. Anastazji Fieck. że „doraźna pomoc nie nie da biedniejszemu. Trzeba poprawić dolę wszystkich, podnieść ogólny dobrobyt”, zwycięża przekonanie o celowości i słuszności jedynie społecznego dorabiania się, zamiast łapczywego, często kosztem innych, forsownego dorabiania się tylko na swoim, „razem przecież budujemy my chłopcy i robotnicy Polskę Ludową” jak pisze ob. Zygmunt Pluta.

To narastające zrozumienie potrzeby domagające się nie zawsze uzasadnionych indywidualnych ulg i przywilejów; ale górują nad nimi takie wypowiedzi, jak ob. Anastazji Fieck. że „doraźna pomoc nie nie da biedniejszemu. Trzeba poprawić dolę wszystkich, podnieść ogólny dobrobyt”, zwycięża przekonanie o celowości i słuszności jedynie społecznego dorabiania się, zamiast łapczywego, często kosztem innych, forsownego dorabiania się tylko na swoim, „razem przecież budujemy my chłopcy i robotnicy Polskę Ludową” jak pisze ob. Zygmunt Pluta.

„Do prac w polu podchodzą zawsze planowo” — pisze obywatel Jan Tuske, „kontraktację zboż nazwałbym gwarantem urodzaju” — odzywa się ob. Józefa Wierna, „trzeba pracę rozłożyć, aby wszystko było w terminie, na czas” — piszą ob. Józef Palak i ob. Stanisław Cudała, „zasiałem ożmyny, wyorałem i nawiozłem pod jare, spodziewam się dobrego urodzaju” pisze inny, „stosuję się pilnie do zarządzeń władz rolniczych, wskazówek instruktora rolnego, planu gminnej rady narodowej i dobrze na tym wychodzę” — donosi ob. Zygmunt Pluta. Widać, że plan państwowy staje się w ten sposób coraz powszechniejszą regułą działania i metodą zdobywania wysokich urodzajów nie tylko w urodzajnych, ale także i w uboższych i średnich gospodarstwach chłopskich.

Stanisław Cieślak



Foto W.A.F.

JÓZEF OZGA MICHAŁSKI

O JEDNEJ Z WIELU PRZYGÓD JANA IWONA

Kościółek stał na wzgórku. Księżyc oświetlał blaszany dach. Od granatowego nieba odrywały się jak ze struchlałej powały sęczki palących się gwiazd, śmigając razno ku ziemi.

Może to jedna z nich pacnęła w dach kościoła, a może sowa uderzyła kocim łbem w okno kaplicy, dość, że Jan Iwon oknął się z drzewki.

— Tfu! U diabła, czyżby sen?

Ale nie, nad jego głową zwiśla chorągiew kościelna. Dłoń namacala rzeźbioną krawędź kolatorskiej ławy, dźwigo jego stolarskich rąk. Nieco dalej stał dwa nowitki rzeżane z lipy konfesyjonały. Też grzechów wyspano w tę przepaść bez dna; on sam dwukrotnie odkrywał tu kurek swojego sumienia, a teraz siedział w ławie przez siebie stworzonej.

Kto, u diabła, pokierował jego krokami do kościoła i usadził do nocej drzewki? Przemyślał oczy, starając się wywnioskować, że kościelny mur. Ale na próżno. Nosem wdycha bez przerwy spleśniałe powietrze, dawno nieodświeżane kadzidłem, zapach przygaszonych świec unosi się wokół niego, plecy, łokcie, a przede wszystkim siedzenie mówi wyraźnie — „ugrzęziałś w kościelnej ławie”.

Ile to lat minęło od czasu, gdy on, Iwon, pięćdziesięcioletni, leżał chłop, ożeniony z Walentyną Ambroz, uczył się katechizmu na cmentarnym podwórku, zarosłym bujną trawą.

Ile to lat minęło od czasu, gdy skłębł pierwsze łóżko, wzięwszy w posagu za żonę jeden pokos łąki, piłę, dłuto i hebel. Pierwszy nawet nie miał...

Tak, to nie jest zwyczajna koza gminna, do której pakował go za leższe przewinienia miejscowy komendant. Wtedy szybko przychodził do siebie. Głowę wśwadzał w maleńkie okienko, wypadające ze spróchniałych ram i wołał:

— Walentyno, nocuję dziś w kościele, pójdz do komendanta po klucz, jeśli chcesz, abym ci drew narąbał...

Zwykle bywało tak, że Walentyna szła i prosiła pana komendanta, Karasia, aby stolarza, Iwona, przetrzymać dłużej.

Wiadomo, że do kozy wsadzono Iwona za to, że nie trafił do domu. Ale za co wsadzono go do kościoła, w którym włosy jeżą się na głowie, przez ciało przebiegają drszcze, serce puka inaczej niż zwykle, a głowa zmuszona jest wymyślać różne cuda, do których nie przywykła? A zwolnić się od myślenia nieposob...

Iwon zastanawia się długo i spogląda na chorągiew z wyszłym na niej świętym Józefem.

— Aha, pamiętam, jak dziewczęta wyszły ten wyblakły już dziś wizerunek świętego, a ja rzeźbiłem drzewce. Układałem przy tej robotce Hanke Samborową, aż młotem... Czyżby należało być się tej chorągwi?

Spogląda po ławach, chorągwiach, obrazach i rzeźbach, które tysiącom oczu wydają się inne w dzień, niż teraz jemu wśród nocy. Powoli poczynają panować nad inwentarzem kościelnych sprzętów, z którymi tylkroć miał styczność w różnych porach swojego życia.

— Swoją drogą, ubożuchna jest nasza gmina, człowiek prześpi się w niej jak w stajence — trzeba ją będzie urozmaicić...

Iwon stąpa ostrożnie po kamiennym posadzce, rękami dotyka zimnych ścian i kieruje się w stronę drzwi.

— Przecie chłopci ten kościół murowali i obrazy kupili dla swoje grosze i organy za złotą pszeniczkę i dzwony za siwe woły, a czy dach blaszany spadł z nieba? Moja siekiera ociosowała płatwy i krokiew... z mojej głowy wystrzeliła wieżyczka, nasadzona na kościelne sklepienie, a krzyż na wieży został ukuty ze starej wyjeżdżonej obręczy, zdjętej ze złamanej koła przyjezdnych handlarzy. Zostawili to koło u mnie w sieni, a teraz pewnie bliższy w księżycu żelazo.

Sami budujemy różne dziwa i sami się ich boimy — ot co!

Stanął Iwon na sklepieniu podziemnej piwnicy. Znowu coś go pod sercem łaskocze.

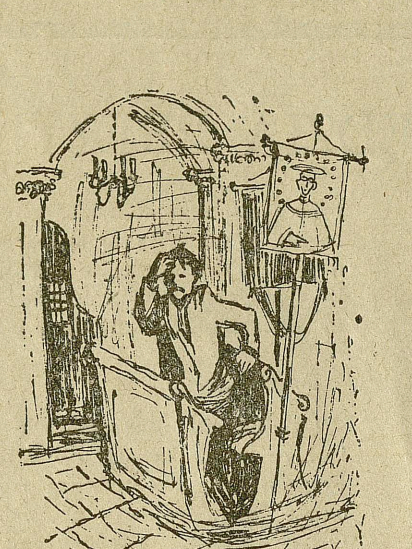
Leżą w łochach porzucone owoce historii; panowie szlachta bez kontuszów i bez szabli, własną nawet niekiedy skórą, gołymi świecąc kośćmi. Oto jak człek wygląda, gdy się go nie okrywa zieloną murawą. Na ścianie jest wmurowana tablica z napisem, który Iwon odtwarza teraz w pamięci:

„Tu leży Anna Karska z Podlodowskich z domu, która przez całe życie nie dała nikomu tylko Dominikanom trzy wsie i dwa miasta, niech w spokoju poczywa cnotliwa niewiasta”.

Wśród tych trzech wsi oddanych niegdyś zakonnikom była i wieś Biełiny, przekazana razem z przodkiem Iwona w wieczyste posiadanie duchownym ojcom. Tablica wmurowana w kościele była więc nie tyle wdzięcznym wspomnieniem okazanym zmarłej babie, ile hipoteczny zapisem przechowywanym w bezpiecznym miejscu, gdzie ani ogień, ani woda, ani przewrotność ludzka nie zdoła wymazać liter tustego testamentu.

— Użył sobie ojcowie duchowni, mając w fundamentach kościelnych także tablice, nas do roboty w polu a w miastach kupców, garncarzy, snycerzy, krawców i stolarzy; a wreszcie urzędników i łapowników, daj Boże zdrowie do tego interesu... tak myśli Iwon — posuwając się ku drzwiom i coraz śmielej torując sobie drogę w otaczających go ciemnościach.

Gdy te nowe, po raz pierwszy w życiu zjawiające się we łbie myśli



i fantastyczne obrazy oblegają jego mózg, Iwon, można rzec pokryjomu przed samym sobą, rozgryza jednym zębem swój węzełek gordyjski. — „Skąd się tu wziąłem? Przecie musiałem tu przyjść dobrowolnie. Jaki diabeł zapędził mnie do ołtarza wśród nocy i zamknął na cztery spusty? Czyżby proboszcz, a może organista, któremu obiecałem stołowy kredens, a zmałstrowałem szafarnię na krupki. Zadał mi teraz bobu”.

Jan Iwon smętnie zwieszył głowę szedł w stronę ołtarza, aby położyć się krzyżem na dywanie i położyć do rana, zawsze to pozycja

wygodna i kościelny, gdy rozewrze wrota ujrzy pokutującego czelaka.

Gdy Iwon kładł się na dywanie ręka jego napotkała związane w pęk narcyzy. Znały mu zapach kwiatów zerwanych z rana w ogródku uderzył w nozdrza i razem z tym wytrysła w umyśle upragniona odpowiedź na dręczące pytanie.

Przecież to dzisiaj wesele jego bratanicy, a on goliący pół litra, jak każę obyczaj chrześniwych ojców i wujów w jednej osobie przyszedł z bukietem na ślub, aby go wręczyć tej dziewczynie, która fika teraz nożkami, gdy on zabiera się do leżenia krzyżem...

— Niech to diabli! — teraz dopiero zaklął się, że na cały kościół Jan Iwon, nie żałując swojego ochrypłego głosu, teraz dopiero oprzytomniał i nabrał pewności siebie, myśl o beczynnym leżeniu i pokucie wydała mu się tak śmieszna, że wstał bez ceremonii, jakby wstał z własnego łóżka i już bez pobożnego westchnienia ruszył ku wyjściu.

Idąc, namacał tęgi żelazny lich-tarz i wywijając nim jak cepem zamierzył się we drzwi.

— „Już ja sobie z nimi poradzę!” Uderzył raz, drugi, trzeci, lecz nie na jego siły były dębowe, kute drzwi. Trzeszczały wprawdzie rozklekotanym zamkiem, a każde łupnięcie lich-tarza w dębowe deski rozlegało się ciężkimi grzmotami po kościele i wybiegało na zewnątrz.

Najpierw oknął się plebański brytan i raz po raz odpowiedział głoszonym szczeniakiem na hałas wszczęty w kościele. Również i ksiądz Krawczyński, który miewał lekki sen szybko poderwał się na nogi i cichaczem przekroczył próg plebanijki.

— Co za licho turkoce się po dachu? — ksiądz zadął głowę — ale nie, na dachu nie ma żywej duszy, ani kotów, które bywało nieraz uprawiały miłosne igrzyska, ani so-

wy, „ani żadnej rzeczy, która Jego jest”!

Ksiądz Krawczyński był człowiekiem nielekliwym, ale ostrożnym, zawiłych spraw nie lubił rozplątywać, niemniej wypadło mu często borykać się z ludzkim występkiem, lecz z tym dawał sobie radę.

Dla wielu na przykład pozostanie tajemnicą, dlaczego wraz z przybyciem Krawczyńskiego do parafii rozrosły się do niebyszych granic ogrody. Jabłonie, grusze i śliwy rok w rok poszerzały swoje królestwo, zagarniając coraz nowe hektary gruntu pod uprawę słodkiego owocu.

A przecież była to zasługa księdza Krawczyńskiego, który, jeśli już zdradzić jego sekret, za każdy stódek grzeszek popełniony przez parafianina z parafianką nakazywał sadzić winowajcy cztery jabłonie, dwie grusze i jedną śliwę węgierkę.

— A gdyby dama... damachę, księ-że?

— Żadną damachę, szlachetną węgierkę sadź! Pójdziesz do ogrodnika, masz tu adres i u niego sobie zamówisz drzewka...

W ciągu piętnastu lat tak wiele nagrzeszono w parafii, że wszystkie pagórki i wady, wszystkie słoneczne stoki zajęto pod owe ogrody.

Kto by pomyślał, kto by uwierzył, a jednak drzewa rosły, ludzie sadzili je dalej i nie myśleli rezygnować ze słodkich grzechów. Sadząc po uczynkach, nie był proboszcz Krawczyński najgorszym księżyem. Skrzyżował wiarę z życiem, a ono jakoś tam szło.

Tymczasem Iwon po krótkim od-sapnięciu podwoił wściekle uderzenia w dębowe drzwi. Proboszcz zbliżył się tedy na tyle do kościelnych murów, że coraz mniej pojmował z tego, co mogło stać się przyczyną piekielnego wprost huk, wstrząsającego świętym miejscem. Nie śmiał podejść bliżej i zatrzymując się

z dala medytował nad przyczyną niebywałego hałasu.

Podreptał w końcu do wikarego Ryby — we dwóch będzie różniej...

Młody ksiądz Ryba nie spał jeszcze, przed chwilą wrócił od nauczycielki, do której biegał od czasu do czasu z kierownikiem szkoły.

Proboszcz zastukał w okno.

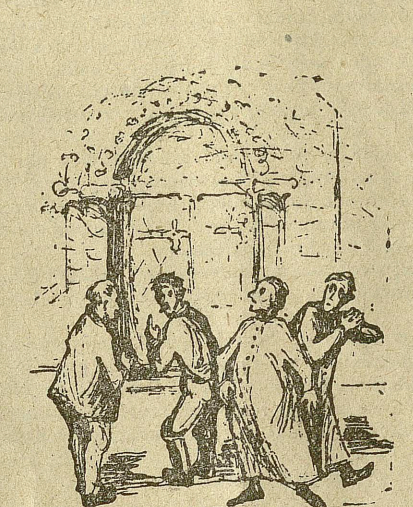
— Drogi koleżko! Wstawaj, jeśli w Boga wierzysz! W kościele cuda się dzieją!

Wikary zerwał się z łóżka, wdział sutannę i wybiegł szybko, jak do pożaru.

— Ostrożnie, ostrożnie, kochasiu — słyszesz to trzęsienie?

— Trzęsienie, ksiądz powiada, ale nie zemi?

— Daleko, daleko do tego. Kościół się tylko trzęsie, lecz od czego — nie wiem. Pójdziesz tam, zbadasz, ja tu w razie czego będę czekał...



— Ba! — sapnął wikary — jakże zwacham, co to takiego? Huczy jak we młynie, a przy tym drzwi się wprost ruszają! Jakby coś chciało się z naszego kościoła wydostać...

Tu wikary cofnął się dwa kroki, choć wiedział, że proboszcz zgani go za brak odwagi.

— A możebym po organistę sko-czył, co? Osoba nam bliska, na pół duchowna prawie?...

Proboszcz zezwolił na sprowadzenie organisty. Po jakimś czasie w trójkę podchodzili do drzwi, trwoniąc rozglądając się na boki.

Organista Kolesa nadymał bez przerwy brzuch, żeby powstrzymać czkawkę, która przypiętała mu się z zimna albo ze strachu, a może jedno i drugie przyczyniło się do męczącej gardło czkawkę.

— Czego pan tak pokichuje, czy pan zły dostal, czy też na weselu tak sobie dogodził? Ciszej na Boga organisto, przestań kuwikać, bo wygląda to na uragilne zachowanie w okolicznościach, które nie znoszą absolutnie wybrków ludzkiej natury...

W tym momencie kichnął wikary, a tak mocno, że był to po prostu strzał, oddany z samego serca w niedokończony moral proboszcza, któremu odjęło mowę.

Wraz ustało natęczywe kołatanie do drzwi, ucił proboszcz, wikary i organista, choć ten ostatni nie mógł opanować żadnym sposobem dręczącą go czkawkę.

Lecz oto wśród ciszy nocej ozwała się taka sama czkawka za drzwiami kościoła. Zdawało się, że organista nawiązał ze straszliwym rozmowę.

— Tfu! U Boga Ojca — jęknął proboszcz Krawczyński.

— Wycofajmy się do tyłu.

Znowu stanęli przy laweczce pod kłosem i szeptem naradzali się, co czynić.

Suchy wiatr zaciągał od łąk i rozżarzył gwiazdy do błogości. Księżyc tryskał potokami srebrzystego światła, które płynęło z niego jak woda z czystego źródła, zimna i przejrzysta.

Na olbrzymich przestrzeniach nieba panował całkowity porządek, cała ta karuzela gwiazd, planet i innych ciał niebieskich krążyła lekko i swobodnie, zachowując przyzwyczajoną odległość od ziemi.

— A może te drzwi rozeschły się na upale i zwyczajnie trzeszczą — rzekł basem organista — co?

— Rozeschły? — krzyknął Krawczyński — do żony mu pełno, więc się drzwi rozeschły. Niech was kaci porwa z taką odwagą. Drygaj organisto po kościelnego, niech klucze zabiera ze sobą, a ty książe Rybo przynieś kropidło i wodę święconą, żywo!

Proboszcz pograżył się teraz w rozmysłaniu; cóż to za dziwny spłot prawdy i baśni? Dawniej trafiały się różne nie do wiary cuda, ale bywały one pozytywne i przyjemne dla człowieka, niczym rozrywka podczas urlopu nad morzem. Oto na przykład szedł sobie taki święty Skotyn pichota przez falujące przybrzeżne wody oceanu i spotkał okręt, który wioził biskupa Bariusza; ów, gdy rozpoznał świętego Skotynę zapytał, jakże on tak potrafi chodzić po morzu? Skotyn odrzekł, że pod stopami ma łąkę rozkwitłą konwalią, a nie morze wypełnione rybami. Wyciągnął rękę ku wodzie i zerwał pęk pachnących kwiatów, rzucając je na dowód bi-

skupowi na kolana. Biskup, aby podtrzymał swój autorytet wyciągnął olbrzymią rybę z wody i posłał ją Skotynowi do kosza. Tak uczciwszy nawzajem swoją świętość i apetyty rozstali się wśród pięknej pogody i wrócili do swoich klasztorów.

Oto są przyzwyczajone cuda! — dumal proboszcz. — Spalby pod puchową pierzyną i oglądałbym świętego Skotynę, spacerującego po morzu. Po takim śnie człowiek jest zdrow i wesół, ma lekką myśl i lekki krok.

Pierwszy wrócił organista, wlokąc za sobą kościelnego Ignaca. Chłop sprytnie rozglądał się dookoła i szybko, drobnym krokiem podążał za długonogim organistą.

— Jesteśmy księże...

— Aha! Poczekajcie bracia, zaraz będzie woda i kropidło.

— Proszę księdza — rzekł Ignacy, kościelny — mnie się nie widzi, żeby tam jakiś duch był przymknęty. Duch ni mo siły, a to tłuce, to jest złodziej, a o złodzieja nie trudno. Łaskomy jest na srebro, na złoto, na monstrancję, na nowe kapy, a nawet świece buchnie.

— Nie lżyj, no kochanku! Co ci do głowy przyszło?

Ale Ignacy kościelny stał twardo na swoim.

— Ij... co tu zmyślać, przecie ja księdza nieboszczyka Pękałskiego już raz kościół okradł. Jaki był wtencos ruch! Ho, ho! I policjo i chłopcy i baby z pogrzebacami, z kłonicami, Samborów Antek przyleciał z żelazkiem do prasowania, bo to było w niedzielę nad ranem, w zimie, spodnie sobie prasował, a węgle z tego żelazka, to się złodziejowi na łbie rozspalały. W dzwony dzwoniłem, co ino sił...

Ksiądz Krawczyński usiadł bezradnie pod kłosem. Masz ci los!

— Niech proboszcz zlezie z ławy, trza nom w dzwony uderzyć!

— Czy aby nie kpisz, bisurmanie?

— Co znowu, to poważna rzecz... Jeden złodziej tu nie przyszedł, musi kilku być. — Niech organista leci po policjo, a my podwzwa do dzwonnicy... bo i sama policjo nie do rady, trza ludzi pobudzić, niech każdy wie, że kościół okradziony, zresztą ludzie, by mieli pretensje ze my ich nie zbudził, gdy takie rzeczy się dzieją...

Organista nawet nie spojrzął na proboszcza i nie pytał już o pozwolenie, otulił się w swoje kuse paltó i pędem puścił się w dół, w stronę gminnego budynku, w którym mieszcił się posterunek.

Proboszcz popatrzył z wyrzutem na półduchowną osobę pędzącą na przełaj przez ogrody, nieczym kłusując koń. Sam nie posłuchał kościelnego, który ciągnął go do dzwonnicy. Siadł pod kłosem, którego gąlezie gesto upierzone listami weroło szumiały na wietrze. Prawie ciepły wietrzyk czerwcowy powiał od południa i kłon poruszył się jak ptak stojący na jednej nodze, gotowy do dalekiego lotu. Konary przemyły się, jakby poruszał nimi czuły żywe mięśnie unoszące to ku górze, to w dół, potężne zielone skrzydła. Lecz proboszcz nie słyszał szumu wiatru, nie czuł ciepłej fali powietrza, uderzającego z południa od sosnowych borów, nie rozróżniał wielolejczynowego szelestu liści, choć cały był zamieniony w słuch. Czekal, aż uderzą w dzwony.

Na ścieżce ukazał się wikary z gospodynią, (która trzeba było obudzić, aby znaleźć kropidło). Wtedy kościelny porzucił proboszcza i popędził na spotkanie tych dwojga.

— Złodzieje w kościele — krzyknął im w twarz — za mną, na dzwonnice, bić w dzwony!

Kropidło i saganek znalazły się na ziemi. Proboszcz widział jak wikary porzucił z lekkim sercem te, tak ważne, naczynia duchowne i co więcej, jak bez słowa poddał się pod komendę kościelnego. Natomiast gospodyni, która bez krepacji wybiegła z domu w długiej białej koszuli, zamiast doreczyć proboszczowi święte instrumenta, wydała ze siebie pisk podobny temu, który zdarza się pięjącej kurze. Wiadomo, że kury pieją w wyjątkowych sytuacjach, lecz i te, w której znalazła się gospodyni, którą zaliczy do zwykłych. Odwróciwszy tyły w stronę proboszcza, a pierś ku plebanii rozstała się ze swoim przełożonym w tym przekonaniu, że nieraz jeszcze będzie mogła się z nim spotkać...

— W dzień każdy chucha, dmycha, przeprasza, dobrodzieje, w rękę całuje, niech będzie pochwalony... a teraz masz! Szast-prast i nie ma! Omal tyłka nie wypinają na pożeganie, a o witanu mowy nie ma... jakby tak daleki poszło przestępstwo być proboszczem do rana...

— Dobrodzieju! Księże dobrodzieju! — posłyszał głos swojej gospodyni — ja tu będę plebanii pilnowała...

— Rygluj się! — ryknął jak bodnięty rogami — rygluj! Tylko, żebyś mnie po tym wszystkim do domu wpuściła!

Proboszcz wstał z ławy i głośno zaczął nos smarkać dla dodania sobie animuszu. Jak również dlatego, aby przeciwdziałać drogi oddechowe. Dwa razy kichnął przez zaperzący od kataru nos.

Wtedy właśnie jęknęły dzwony szarpnięte z całych sił przez wikarego Rybę i kościelnego Ignaca.

Józef Ozga-Michałski

Rys. Janina Ignatowska

A. BŁAGOW

W I E R S Z E T K A C Z A

O AUTORZE

A. Błagow, autor tomu wierszy pt. „Miasto tkaczy”, były parobek wiejski i następnie robotnik tkacki stowarzyszenia, urodził się w biedniackiej rodzinie chłopskiej kolo Witowa nad rzeką, Talką, o czym nieraz wspomina w swoich wierszach. „Miasto tkaczy” jest tedy zbiorem utworów autentycznie tkacza, który swoją tematykę tworzącą czerpał z głębi najbardziej osobistych swoich przeżyć i doświadczeń. Tym samym są one wiernym odbiciem życia i problematyki jego środowiska, stając się niejako lirycznym dokumentem pewnego fragmentu dziejów proletariatu fabrycznego na drodze jego walki o własne wyzwolenie z pęt kapitalizmu i o socjalizm. Wiersze te również dokumentują wiernie pewien zaawansowany już bardzo etap rozwoju socjalizmu.

Nasze miasto

Jakież piękne dni mają pierwsze!
Ale miasto jeszcze piękniejsze,
Nasze miasto, miasto włókiennarzy:
Dym z kominów w strop nieba praży,
Mury fabryk wstrząsane głucho
Przez miarowy warsztatów stukot.

Wchodzę w hali przestronne wnętrza:
Pośpiech pracy krosnami trzęsie,
Zwój satyny z każdego krosna
Jak barwna w oczach kwitnie wiosna.
Splywa metrami madapolam
Bielisz niż lśniąca w śniegu pola.

Jak znajome sercu krewniaczki,
Witam sławne prządków i tkaczki,
Których znane wszystkim nazwiska
Z cieżą powtarza ziemia ojczysta,
Których ciągłym nadmornym biciem
Dają hasło do nowych zwycięstw.

Milo po trudach całodziennych
Oddać się czarom wierszy śpiewnych:
Za oknem zachód zwolna gaśnie,
A z wierszy światło coraz jaśniej
Rozlewa się po sercu błogo
Na stole kwiat, a książka obok.

Znów wstaje dzień nade mną złoty,
Porwya miasto, rytm roboty.
I płynę wśród wzebranych fal,
Twarz się rumieńcem szczęścia pali —
Co mi tam troski, co zawody,
Gdy życie piękne, a duch młody!

Opowiadanie starego tkacza

Pamiętam ja, dzieci,
Rok Dziewięćset Piątą,
Gdyśmy bunt podnieśli przeciw panom.
Czasu to już dawne:
Owe strajki sławne
W sercu ludu na zawsze zostaną.

Przerwana robota.
Wyszło nas za wrota
Robotników tysiące i tkaczy.
Nasze kroki głośnie,
Nasze głosy, groźne
Pałaczom wstrząsnęły bogaczy.

Nie zapomnę Talki,
Gdzie potokiem wartkim
Wzbierał bolszewicki socjalizm,
Gdzie o dzień jutrzejszy,
Niepodległy, lepszy
Bić się wszyscy żeśmy przysięgali.

Przemienily lata,
Nadeszła zapłata:
Nasza teraz jest ziemia radziecka —
Dale niezmierzona,
Gmachy niezliczone,
Pola, kolchoz, mgła nad nim niebieska.

przełożył MARIAN PIECHAL



Dopiero teraz otwiera się pole do działania

PYTACIE mnie, jak daję sobie radę na gospodarstwie. Warunki życia mam rzeczywiście ciężkie, ale do samodzielnosci i pracy przywykłam od dawna. Jestem wdową po górniku — Józefie Ficiku i całe moje życie obraca się koło kopalni, bo i jedyny mój syn przy pracy na kopalni uległ wypadkowi i wtedy zostałam już bez żadnej męskiej pomocy i musiałam dawać sobie radę i pracować sama na całą rodzinę. Bo oprócz tego syna, mam jeszcze trzy córki, z których jedna jest zamężna, też za górnikiem. Chociaż nie jestem bogata, zawsze starałam się pomagać biedniejszym na wsi. Praca w domu nie wystarczała mi. I dziwiłam się, że moje wysiłki przynosiły nie takie rezultaty, jak chciałam. Budziła się niechęć biedniejszych do tego, kto chciał ulżyć ich niedoli. Dziś zrozumiałam, dlaczego tak było. Bo przecież taka doraźna pomoc nie biedniejszemu nie da. Trzeba poprawić dole wszystkich, podnieść ogólny dobrobyt. Dziś dopiero otwiera się takie szerokie pole do działania. Obywatel-rolnik gospodarując, sprzedając Państwu płody rolne pomaga i sobie i innym. Wierzę, że dzięki temu dużo muszę pracować, aby pracy w gospodarstwie poddać, pracując z innym sercem i zapałem.

Anastazja Fieck
Wilchwy, gm. Wodzisław
pow. Rybnik

Zebrałam 30 q pszenicy, 23 q żyta, 25 q jęczmienia 200 q ziemniaków z 1 ha...

MOJE koleje życiowe? Miałem je bardzo marno. Rodzice moi pracowali na folwarku, więc żadnego wykształcenia dać mi nie mogli. Gdy tylko skończyłem 4 klasy szkoły powszechnej musiałem iść do pracy na pańskim i tak bledowałem aż do roku 1944. Choć miałem już ponad 50 lat (a ranny byłem w pierwszej wojnie pod Verdun) od razu po wyzwoleniu Ziemi Zachodnich ruszyłem z rodziną do powiatu Wschowa, gdzie otrzymałem gospodarstwo 6 ha w Konradowie.

Z początku sło nam trudno, bo mieliśmy tylko 1 krowę, ale dzięki pomocy Państwa Ludowego, od którego dostałem krowę i konia a później i drugiego konia, człowiek się pomału dorabiał.

Dzieci mam dziewczęciorki: 4 synów i 5 córek, wszystkie dorosłe i mają już swoje rodziny, ale nie wykształcone, bo przed wojną, gdy byli jeszcze małe, nie było gdzie i za co je kształcić.

Dziś poza swoimi 6 ha, dzierżawie jeszcze 3 ha i 25 arów, mam już 3 krowy, jałówkę, 1 konia i żrebacka. Paszy mi starca, bo kontraktuję ziemniaki do gorzelnii i buraki cukrowe — to i mam wywar oraz wytkoki i liście buraczane.

Ziemie uprawiam starannie, daję pełne nawożenie, to i zbiory mam niezłe. W tym roku pszenicy zebrałem po 30 q z hektara, żyta po 23 q, jęczmienia (kontraktowany) — po 25 q, ziemniaków (zakontraktowane na sadzeniaki) — po 200 q, a z rzepaku po 10,6 q z ha.

Pracuję nas na tej gospodarce troje: ja z żoną i syn i dobrze nam się powodzi. Państwo Ludowe mnie w pierwszych latach w mej biedzie wspomogło i dziś pomaga, to i ja staram się państwu jak najwięcej oddać.

W gromadzie jestem prezesem gromadzkim ZSCh i kierownikiem grupy plantatorów, kontraktujących zboże, kartofle, rośliny oleiste. Do tego prowadzę i zlewnię mleka w gromadzie.

Jan Kaczmarek
Rozwadow pow. Wschowa



WSTĘPUJEMY W ROK TRZECI—ROK PRZEŁOMU

Nasza gromada — na pierwszym miejscu w powiecie

PISZĘ ten list z Chełmca na Ziemiach Odzyskanych. Przyjechałam tu w październiku 1945 r. Objąłem działkę o obszarze 7 ha. Z inwentarza żywego posiadam 2 krowy, 2 konie i 5 tuczników. W tym roku oddałam państwu 4 tuczniki, tyle samo mam zamiar oddać w 1952 r. Nasza gromada stoi w skupie zboża na pierwszym miejscu w powiecie. Rolnik nie musi się grzebać w ziemi wedle swego widzi mi się, bo stosuje płodozmianę według planu gminnej rady narodowej. Wprawdzie ziemię mam górzystą i kamienistą, ale dzięki spółdzielni Samopomocy Chłopskiej otrzymałam tyle nawozów sztucznych, ile mi było potrzeba. Tak samo przy akcji żniwnej i omlotowej. Państwo przyszło nam z pomocą, bo dostarczyło na czas maszyny z Ośrodka Maszynowego. Pracę na roli godzę jakoś z obowiązkami rodzinnymi. Mam troje dzieci, chłopak chodzi już do 5 klasy szk. podst. w Chełmcu, a dziewczynka pójdzie w 1952 r. Rozumiem, co znaczy wykształcenie dla człowieka. Sama lubię czytać, ale na czytanie książek nie mam wiele czasu, bo pracuję tylko z mężem bez żadnej pomocy najemnej. Czytam tylko stałe „Gromadę”. Chciałabym tak zorganizować życie, aby znalazł się czas i na pożyteczną książkę.

Zofia Bojanowska
Chełmiec

Od kozy do 2 koni, 7 krów, 20 świń...

MAM 11 ha. Jakież uprawiam rośliny? Sadzę kartofle na oborniku, po kartoflach siewy owies, po owsie żyto, po życie znów owies, po owsie zaoruję głęboko na zimę pod jęczmień jary, pszenicę, mieszanek kłosiową (na paszę), buraki, pastewne, buraki cukrowe, len, rzepak jary i gorczyce. Kontraktuję drugą roślinę: buraki cukrowe, gorczyce, owies, len, kartofle, bo to mi się bardzo opłaca.

Mam dwa konie, 7 sztuk bydła i 20 sztuk świń (w tym 3 maciory zarodowe). Pracujemy z żoną we dwoje, dzieci mamy dwoje ale małych, jedno ma 7, drugie 4 lata. Żadnych sił najemnych nie zatrudniamy.

Jak do tego majątku doszedłem? Po powrocie z Niemiec z robot przymusowych w domu nie zastałem nic. pojechałem więc na Zachód i tam dostałem gospodarstwo, z odlogami i bez żadnego inwentarza. Najpierw kupiłem sobie koze, a później jak się trochę dorobiłem to kupiłem sobie krowę. Za pieniądze składane za mleko od tej krowy kupiłem sobie drugą krowę itp. aż się dorobiłem czegoś i dziękuję Polsce Ludowej, za to że mi pomogła i pomaga do dnia dzisiejszego.

Pracy mam bardzo dużo, ale trzeba sobie jakoś poradzić i tak pracę rozłożyć, żeby była wykonana w terminie, bo niewykonanie prac rolnych w terminie to jest (w 35 proc.) upadek całego gospodarstwa. Nie martwię się jednej minuty na próżno, bo wiem dla kogo pracuję w Polsce Ludowej.

Kontraktuję chętnie trzodę chlewną, bo to daje wielkie korzyści dla rolnika. Latem trzymam świnię na koniczyne i dopiero jak mam świnię tuczyć to daję kartofle i sruć.

Pole moje jest bardzo górzyste, wymaga wiele soli potasowych i wapna nawozowego. A nauczyłem się tego z książek rolniczych, z gazet i z radia, czytam stałe „Chłopską Drogi”, „Głos Wyrzeża” i różne książki rolnicze, które pojawiają się w księgarniach Samopomocy Chłopskiej.

Na rok 1952 zobowiązuje się wyprodukować w swym gospodarstwie o 15 proc. więcej niż w roku zeszłym i odstawić do 1 kwietnia 1952 r. a więc już w pierwszym kwartale, tysiąc kg żywności.

Józef Palak
Janowiczki, woj. gdańskie

Dziś kobieta więcej może znaczyć

KIEDY przywędrowałam na Zachód z trojgiem dzieci, bez męża, bo mąż zginął na wojnie, było mi bardzo ciężko. Gospodarstwo dostałam 8-hektarowe, ale pracować musiałam krowami, bo nie było koni. Pracując usilnie dorobiłam się dzisiaj 2 koni. Posiadam oprócz tego 5 krów, 10 świń: 6 kontraktowanych, 2 maciory i 2 karmiki. Daję sobie radę, a jeśli ktoś się temu dziwi, jak samotna kobieta z dziećmi może się tak dorobić, to mówię, żeby tak pracowali i tak dbali o swoją gospodarke, jak ja. W pracy pomaga mi siostra i brat po pracy w tartaku.

Oprócz tego nie wszyscy stosują system planowy i kontraktację, co daje duże korzyści. Ja kontraktuję pszenicę, jęczmień, kartofle i buraki cukrowe oraz trzodę chlewną. Gdyby wszyscy chłopcy szli w moje ślady, mieliby lepiej. A przecież życie miałam wyjątkowo ciężkie. Oprócz pracy gospodarskiej mam i społeczną, bo należę do Samopomocy Chłopskiej, jestem członkiem Powiatowej Rady Narodowej oraz Wiejskiego Domu Towarowego. Dziś kobieta więcej może znaczyć niż dawniej. Staram się także kształcić dzieci. Najstarsze moje córki uczą się w Szkole Ogólnokształcącej w Zielonej Górze. Młodsza córka i syn uczęszczają do Podstawowej Szkoły

w Klenicy. Książki czytają moje dzieci, ja czytam tylko gazety: „Gromadę”, „Zielony Sztandar”, „Rolnika Polskiego”, „Przyjaciółkę”.

Kazimiera Kesioka
Klenia, gm. Bojadła
pow. Sulechów

Wszystkich namawiam do kontraktacji

PRAGNĘ Wam napisać prawdę o moim życiu, a ono jest takie: jestem kobietą starszą, mam już lat 50. Wychowałam 4-ro dzieci, które nie sprawiły mi zawodu. Jeden syn pracuje jako referent rolny w gm. spółdzielni w Gościęcinie Drugi — na gospodarstwie. Córka wyszła za mąż. Ja nie rezygnuję jeszcze z życia, ale wraz z najmłodszym synem pracuję na gospodarstwie. Gospodarstwo moje liczy 2,66 ha. Cieszę się, że jestem zdrowa, daję sobie radę z gospodarstwem i zdołałam wywiązać się całkowicie wobec państwa z planowego skupu zboża i ziemniaków. Inwentarza nie posiadam wiele. Mam 1 krowę i 2 prosiaki. Do orki w polu wynajmuję traktor, bo co maszyna to maszyna. Czasem też ludzie pomogą mi zaościć koni. Jestem małorolna, ale nie czuję się w swojej pracy pokrzywdzona i osamotniona. Państwo idzie chłopcom małorolnym na rękę. Biorę czynny udział w kontraktacji zbóż selekcyjnych i bardzo sobie to chwale. W tym roku jesienią zakontraktowałam 1 ha żyta dla Centrali Nasienniej. Nie potrzebowałam więc brać swojego nasienia na siew. Na wiosnę też mam zamiar zakontraktować 1 ha pszenicy dla Centrali Nasienniej, a swoje zboże siewne sprzedam państwu.

Dziwię się, gdy niektórzy sąsiadzi rolnicy nie chcą brać czynnego udziału w kontraktacji, bo przecież daje ona rolnikowi dużą korzyść. Kontraktację zbóż nazywałabym gwarancją urodzaju. Zboże kontraktowane więcej się opłaca, rolnik otrzymuje premię za jednolitość ziarna itd. Zwiastacja jestem z uznaniem dla naszej GS w Gościęcinie.



Foto E. Goławska

która prowadzi skup i kontraktację produktów rolnych. Pracują tam ludzie uczciwi, do których każdy rolnik może się udać po radę i informację o kontraktacji. Dlatego wszystkich namawiam, aby nie stronili od nowych metod produkcji rolnej i skupu, bo wtedy prowadzi droga do dobrobytu i wsi i miasta.

Józefa Wierna
Gościęcin, pow. Koźle

Stosuję się pilnie do zarządzeń władz rolniczych

JESTEM chłopem małorolnym, gospodaruję na 3 ha, w tym 1 ha łąki. Mam 2 krowy i 3 świni. W gospodarstwie stosuję się pilnie do zarządzeń władz rolniczych i wskazówek instruktora rolnego zwłaszcza co do płodozmianu, orki użycia nawozów itp. i dobrze na tym wychodzę. Bo gdy przyszło do skupu to zaimałam 100 kg zboża mogłem oddać 150 kg, a zamiast 500 kg ziemniaków — 700 kg oddałam, a także samo w r. 1951 — 4 tuczniki o wadze łącznej 1000 kg.

Ala nie wystarczy samemu się wywiązać. Dlatego u nas w gromadzie prowadziliśmy zorganizowaną agitację, dzięki czemu wykonaliśmy jako gromada plan skupu zboża w 104 proc., ziemniaków w 115 proc., a kontraktację trzody chlewniej na I kwartał 1952 r. w 105 proc. planu.

Dzięki szkoleniu ideologicznemu dziś rozumiem dobrze, że my chłopcy musimy dać dla świata pracy chleb i tusz, bo robotnicy dają nam nawozy sztuczne, żelazo, towary i w ten sposób zbudujemy razem Polskę Ludową.

Zygmunt Pluta

Bolesławów, gm. Przyrów
pow. Częstochowa

Ino te budynki

POSIADAM 6 ha, gospodaruję normalnie, choć bez zaprzęgu. Za wypożyczone konie muszę każdorazowo płać gotówką, gdyż ośrodek maszynowy u nas pomaga tylko tym, co mają gotówkę, a nie mało i średniorolnym chłopom.

W 1950 roku sprzedałam Państwu 3,5 tony zboża, 5 ton ziemniaków, 7,5 ton buraków, a w roku 1951 — zboża 3,5 tony, 2,5 ton ziemniaków, 7,5 ton buraków, 2,5 ton żyta, 2,5 tony, bo mi buraki zjadło robactwo. W każdym razie odstawiłem ponad plan.

Natomiast czuję żal do miejscowych władz a więc do GRN, a także do samej spółdzielni gminnej, że ja który wykonałem plan z nadwyżką zostalem za to odznaczony Krzy-

żem Zasługi, otrzymałem tylko 200 kg węgla na opał i tylko dlatego, że nie utrzymuję konszachcików kumoterskich z prezesem GS.

Mieszkanie i budynki mam liche, a i inwentarza żywego, nie ma gdzie trzymać i mam tylko 2 krowy, jedną jałówkę i 2 świni, ponieważ na więcej nie ma pomieszczenia.

A mógłbym chować znacznie więcej, ino te budynki.

Jan Karbownik
pow. Cieszyń

Bohaterka pracy

PYTACIE o planowy skup i kontraktację? Powiem Wam prosto, że każdy obywatel, który nie kręci, nie ociaga się, ale naprawdę kocha Ojczyznę może i powinien swe obowiązki wykonać w terminie. Za co otrzymałem srebrny Krzyż Zasługi? Myślicie, że mnie było łatwo wykonać w tym roku te wszystkie powinności?

Mam lat 30, od października 1946 r. gospodarowałam z mężem na Ziemi Odzyskanej w pow. Olecko. Pracy miałam bardzo dużo: w polu i w domu, bo dzieci małe, a dostaliśmy ziemię nieobsianą, bez żadnego inwentarza ani żywego, ani martwego, tak, że przez rok 1947, pierwszy rok na swoim, cierpieliśmy wprost nęczę. Ciężką pracą dochowaliśmy się 2 koni (bo u nas w jednym koniu nie da rady orać), 2 krów, kilku owiec i kilku wieprzy (w tym dwa zakontraktowane na I kwartał).

Ala przy końcu maja zeszłego roku mąż mój zginął tragiczną śmiercią, utonąwszy w głębokim bagnie. Zostałam sama, w ciąży, z dwójkiem dzieci: syn 5 lat i córka 3 lata, sama na 13 ha! Przyszło to wszystko z 13 ha sprzątać, kosić i zwozić przez całe lato, opłacić podatek, oddać zboże, spłacić pożyczkę, wszystko na moje dwie ręce, a dzieci ze sobą musiałam wszędzie wozzić, bo nie miałam żadnej opieki i pomocy. Rodzina moja daleko o 50 km, brat czasem przyjeżdża, ale rzadko, bo i

szkołach, bo dzięki władzy ludowej mogę sobie pozwolić na szkolenie trojga dzieci, o czym w Polsce przedwojennej nie mógłbym nawet pomyśleć. Dlatego daję Polsce Ludowej co mogę, i pracuję ile mi sił starczy, aby zbudować jak najszybciej Polskę Socjalistyczną.

W tym też celu pracuję w Podstawowej Organizacji Partyjnej, gdzie jestem sekretarzem i dla której zdobyłem już kilkunastu członków i w Gminnej Radzie Narodowej i w Związku Samopomocy Chłopskiej.

Konrad Muszarski
Przeradz, gm. Wólca,
pow. Miastko

Trudności mam jeszcze dużo...

OTCIEC mój ma 2 ha w pow. żywieckim i do r. 1939 pracował przy ojcu na roli. W r. 1940 zabrali mnie hitlerowcy na przymusowe roboty do Niemiec, skąd powróciłem dopiero w r. 1945. Po ożenku wyjechałem w 1945 roku na Zachód do wsi Buków, pow. Nysa, gdzie otrzymałem 7,7 ha (ornego 6,9 ha, łąki 0,82 ha, 0,20 ha pod zabudowaniem), ale w tym 2 ha ziemi podmiejskiej lub szutrowatej, z którą przy osiągnięciu wyższej wydajności mam trudności wiele. Konia mam jednego, krów trzy szulki, jednego byczka, 1 owcę, świń zaś 15 sztuk, z tego dwie maciory zarodowe, osiem prosiąt i pięć tuczników, z tych ostatnich cztery już zakontraktowałem.

Na styczeń 1952 r. zakontraktowałem tylko 1 tucznika z powodu braku paszy: ziemniaków i sruć. Nasza GS w Kałkowie posiada sruć ale tylko żytnią, a jak mi wiadomo, sruć żytnia nie jest tak dobrą paszą do tuczu jak sruć jęczmienna, kukurydza czy łubin słodki. Dlatego z tych osmiu prosiąt, ze cztery sprzedam na chów, a tylko cztery zakontraktuję na dalsze miesiące roku 1952. Aby mieć więcej paszy zasiałam na zimę mieszanki na zieleno, zawsze też staram się uprawiać rzepę ścierniskową, lucernę itp.

Poniżej mam nam pod dostatkiem obornika stosuję zielony nawóz, nawozów sztucznych trochę mi brak, bo GS jeszcze tyle mi nie sprzedaje nawozów sztucznych, ile byłoby potrzeba!

W r. 1946 po trzymiesięcznej chorobie zmarła mi żona, a ja sam przy pracy w polu natrafiłem na minę, zostałem ranny i teraz mam uszkodzone oko. W 1946 r. padła mi jałówka, w r. 1947 koń i krowa, w r. 1950 — aż 13 świń, nie mam jeszcze silosu i kiszy zielonki w dole, przez co mam pewne straty i dom mam stary bardzo, podłoga i co większy wiatr, to się obawiam, żeby się dom nie obalił. Miałem więc i mam jeszcze duże trudności w gospodarce, ale postanowiłem sobie, że na przyszły rok postaram się zwiększyć wydajność całej mojej gospodarki.

Jestem sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej, członkiem ZSCh, ławnikiem powiatowego sądu, biorę udział w pracach Komisji Rolnej GRN w Kałkowie. Trzeba pracować społecznie i politycznie, bo wielu moich sąsiadów myśli jeszcze tak „dla mnie wystarczy, a reszta co mnie obchodzi”. A przez taką nieobywatelską postawę i my jesteśmy stratni i Państwo też.

Stanisław Ryzek
Buków, pow. Nysa

Mam taki projekt do kontraktacji

MAM już 56 lat i przez większość z tych lat ojciec nie użyłłem rozkoszy, a ponieważ. Po śmierci ojca, wiejskiego krawca, pozostało nas troje dzieci i ja najstarszy, choć miałem dopiero 9 lat poszedłem na służbę do bogaczy, najpierw dzieci kosił, później do pasionki, wreszcie za furmana u dziedzica. Do szkoły żadnej nie chodziłem, bo i skąd.

W roku 1916 poszedłem na front najpierw rosyjski, później włoski, na koniec serbski i tu dostałem się do niewoli, skąd powróciłem dopiero w r. 1920 i znów na formala u dziedzica. W latach 1927—1934 byłem na robotach we Francji. Po powrocie pracowałem na swoim, dopóki mnie nie wywieźli z synami i córką na przymusowe roboty do Niemiec, a później na dwa lata do kamieniołomów w Gross Rosen a wreszcie do Mauthausen, skąd wróciłem dopiero w czerwcu 1946 roku i otrzymałem 4 ha w Howie. Mam dziś 1 konia, 2 krowy, cielęta i buhaja, maciore i trzy większe świni.

Dzieci mam już dorosłe, pracują w innych zawodach, przy mnie jest tylko najmłodsza córka lat 18 (która się uczy) i wnuczek lat 8, pracujemy więc na gospodarstwie sami z żoną, a żonę mam dobrą i bardzo pracowitą, a gospodyni jak wiecie trzyma trzy węgły w oborze i w domu a gospodarz dopiero czwartki. Dzieci jej pomocy mogą pracować społecznie, a mam tych funkcji chyba ze 14 i żadnej nie zaniedbuje.

Pracować dobrze w gromadzie, gminie i powiecie, wywiązać się z wszystkich obowiązków, to nie jest dziś w Polsce Ludowej żadną sztuką, ale trzeba pracować stale, wytrwale, systematycznie, z planem, myśleć nie tylko o dziś, ale i o jutro, i nie głądać się na głupie gadania i plotki, a co będzie wiosną, a co będzie jesienią, czy doczekam itp.

Mam ci ja taki projekt do kontraktacji trzody. Powinna być na



to taka ustawa, jak jest na zboże czy na kartofle, żeby kontraktacja była obowiązkiem każdego rolnika — masz mniej hektarów np. do 2 ha kontraktuj co najmniej jedną sztukę, masz więcej ha, kontraktuj więcej, a nie tak, jak dziś jest, że jak mi się podoba to kontraktuję, a jak mi się nie podoba, to nie kontraktuję. Zaraz by było mniej tych handlarzy mięsem.

Bo przecież tu chodzi o wielką i ważną sprawę dla całego narodu.

Michał Klimczak
Howa, pow. Zagań

By dzieci dożyły komunizmu

DZIECINSTWO moje było ciężkie, ojca zabili bandyci, wkrótce zmarła matka. Nie mając jeszcze 8 lat musiałem pójść na służbę do bogatych gospodarzy, następnie zaś, aby utrzymać młodszego rodzeństwo, pracowałem na sztykach. W szesnastym roku życia zacząłem pracę w kopalni „Flora” w Dąbrowie Górniczej, gdzie pracowałem z przerwami do 1941 r. Nielatują był to kawałek chleba, gdyż często redukowano nas lub podlegałyśmy wypadkom. W 1941 r. hitlerowcy wywieźli mnie do Westfalii, do robot przymusowych w gazowej kopalni, ale byłam tam krótko i wróciłem z powrotem do swojej kopalni, gdzie pracowałem do wyzwolenia.

W 1923 r. wstąpiłem do Komunistycznej Partii Polski, w 1945 r. zakładałem na terenie swojej gminy Polską Partię Robotniczą. Spadły na mnie nowe obowiązki, tym razem społeczne. Przyczyniłem się do założenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Łosiu, gdzie do tej pory pracuję. Jednocześnie jestem członkiem Komitetu Gminnego PZPR i GRN. W pełnieniu tych obowiązków przeszkadza mi brak wykształcenia, gdyż szkoły podstawowej nie ukończyłem na skutek tego, że musiałem sam się utrzymywać i zarabiał od dzieciństwa na życie. Przeszedłem więc kursy anal-fabefów, nauczyłem się trochę pisać i czytać, lecz jeszcze mi idzie trudno.

Ziemie posiadam niewiele, zaledwie 1 ha i 80 arów, piaseczystej, więc tym więcej trzeba o nią dbać. Po zebraniu plonów siew paszę na zielono dla bydła, daję obornika sporo i trochę nawozów sztucznych. Mam jedną krowę i jedną jałówkę, którą sam przychowałem, dwa barany i 3 świni, z których dwie kontraktuję, a trzecią zostawiam dla siebie. Gospodarki uczę się od moich dzieci, które w przysposobieniu rolniczym prowadziły polećka doświadczalne, za które otrzymały nagrody. Dużo też przykładów biorę z „Chłopskiej Drogi” czy „Gromady”, które czytuję moja żona na głos wieczorami.

Mam trzy córki. Dwie są zamężne i zięciowie moi pracują w fabrykach, trzecia córka mieszka przy nas. W 1945 r. zakładała ona ZWM, od 1946 r. jest w Partii, ukończyła kursy Opieki Społecznej, Przysposobienia Rolniczego, organizacyjny ZWM-u, instruktorski „Służby Polsce”, zaś ostatnio skierowano ją do Wojewódzkiej Szkoły Partyjnej w Katowicach, po ukończeniu której została referentem personalnym w Hucie Szkła Gospodarczego w Zabkowicach.

Żona moja również pracuje społecznie, znajdując na to czas poza obowiązkami domowymi. Prowadzi w gromadzie Koło Gospodyń Wiejskich oraz jest członkiem Komitetu Powiatowego PZPR w Będzinie.

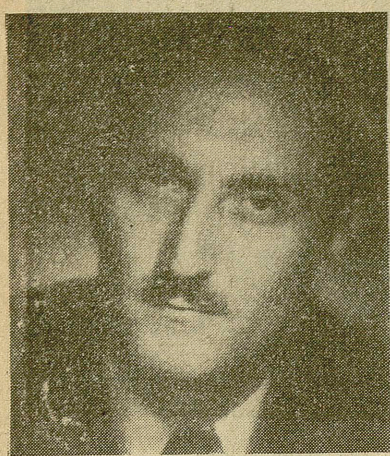
Jesteśmy, cała rodzina, szczęśliwi z dzisiejszej rzeczywistości. Pragnę zaś jednego: aby dzieci moje dożyły komunizmu.

Franciszek Hajda
Łosień, pow. Będzin



LESZEK HERDEGEN

POETYCZNI



Jan Maria Głogowski w swym ostatnim tomiku „Pierwsza miłość” * wchodził nieraz jeszcze na ścieżkę niekomunikatywną, obcej nowemu czytelnikowi poetyki, a niektóre jego wiersze są małą antologią „chwytów” poetyckich od Słowackiego przez Staffa i poetów Skamandra do awangardy. Jak to się stało? Posłuchajmy.

Głogowski debiutował w r. 1946 tomem wierszy „Wieżnia i chłop”, który w przeważającej większości utworów był obrazem przeżyć autora w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Wiersze te były niewątpliwie pozytywnym zjawiskiem na tle ówczesnej literatury, ulegającej obcym nam ideowo-tendencjom literatury zachodnio-europejskiej — reprezentowały szczerą prostotę, dawały prawdziwy obraz nieszczęsnego przez faszyzm człowieka. Prosta obozowa wiersz Głogowskiego graniczyła z pewnym prymitywizmem, którego korzenie sięgały aż do piosenek i ballad Franciszka Villona:

„Wesoło i rześkie
muzyka gra na bloku,
muzulman błądzi z bólu
nie wie, czemu tak jakoś jest
światłości”.

Albo:
„Przystanęłam w błocie
za blokiem
bo człowiek człowieka kopie”.

Jednak już w tym tomiku, w wierszach związanych z życiem wsi zaczęła się rodzić słabość poezji Głogowskiego, która trwała właściwie do dzisiejszego dnia. Głogowski tworzył metafory, w których zagmatwany obraz komplementował czytelnika do utworu, a styl pozbawiał jasności i zwięzłości. Pisał np.: „Wbijam nogi w bieżnię przeszłości lat i miast do mety wracam”. Maniera niepoprawnie porządkowanych linii przewodziła u-

tworu dygresji i spiętrzenia metafory osłabiła wymowę ideową i artystyczną ciekawie pomyślanego poematu „Opowieści krajoznawcy” (1948 rok), gdzie sprawa walki klasowej w łonie podziemia w latach okupacji została podana sztucznym i „przekombinowanym” językiem artystycznym.

Błędy pierwszych dwóch książek Głogowskiego odczuwały się w najnowszym jego tomiku. Zawiera on wiersze nawiązujące do problemów nurtujących współczesną wiesć polską. Mówią one o przemianach społeczno-kulturalnych na wsi, o upowszechnieniu oświaty i kultury, o walce z analfabetyzmem, o pracy samorodnych artystów wiejskich, o walce klasowej. Zakres tematyczny — jak widzimy — jest bardzo ciekawy i dla naszej poezji nowy. Niestety, zagadnienia te nie zawsze rozwiązane są w sposób ideologicznie słuszny i artystycznie przekonujący.

Weźmy jako przykład dwa sonety traktujące o pracy wiejskich rekordzistów („O garncarzu z Iłży” i „Odwiedziny”). Poeta nie oskarża uświęconych przez feudalny i burżuazyjny ustroj prymitywnych sposobów ich pracy, przeciwnie — podziwia „zgrzebną” charakter bytowania i „kurz, spoczywający wszędzie w niewielkiej komorze”. Nie jest to ujęcie właściwe, ponieważ ustroj nasz tym się m.in. charakteryzuje, że kulturowo samorodną twórczość, dając ludowym artystom możliwość kształcenia się, stwarzając warunki materialne zdolne zapewnić im spokojną pracę twórczą. Daleko słuszniej rozwiązuje zagadnienie przemysłu chałupniczego w „Krosnach” — konfrontując je z obrazem zmechanizowanej i na innych podstawach społecznych opartej produkcji.

Inny błąd obciąża wiersz „W miasteczku wystawa obrazów” i „Na targu”, w których poeta przyjmuje postawę obserwatora, który stanął wobec „ludu” i dziwuje się jego krasie i chłonności intelektualnej.

Za tą postawą samotnego wyciecznika podąża odpowiednia interpretacja artystyczna opisywanych zjawisk i problemów. Poeta opowiada — w gruncie rzeczy uzasadniona — ale przesadna obawa przed frazesem i łatwiną, w wyniku czego nieopatrznie kontynuuje swój niewłaściwy język poetycki z „Opowieści krajoznawcy”. Czytelnik odnosi wrażenie, że nieraz Głogowski pisze tak, żeby było „poetycznie”. We wszystkich niemal wierszach obserwujemy sztuczną komplikację stylistyczną.

na, polegającą na niesprawdzałnej, nieczytelnej metaforze — z jednej strony, z drugiej zaś — na spiętrzeniu poetyckiej frazy, na dążności do uchwycenia zbyt wielu spraw w jednym członie wiersza. Oto przykład charakterystycznego przemataforyzowania obrazu:

„Ochodzę w wieczór, kiedy
chóry żabie
kładą noc na sędymowej
smudze nowiu”
(str. 12)
„Szklane gniazdzka powiżają
uczucia ze światem”
(str. 35)

(mowa o izolatorach).
A oto rozbudowane do przesady zdanie poetyckie:

„Zielen jeszcze dojrzała, a już
ku starości
schylająca wierzchołki, z wiatrami
po społu
szumi nad gwarem dzieci, który
jest pochlebstwem
dla potworków, fontanny i rzeźby
kobiety
wracającej z jarmarku, aby sytość
trwała
pod dachem mariensztackim jak
obraz zawista”
(„Miasto młodego zapalu”)

Pomijam już fakt, że wyrażenie zachwyty dzieci nad pięknym rzeźbą Mariensztatu określeniem „gwar dzieci jest pochlebstwem” — jest niezrozumiałe i nienaturalne, ale poeta kojarzy obrazy bez końca, nie segregując ich, nie zwracając uwagi na czytelność całej frazy i konieczną przejrzystość konstrukcji.

Najlepiej Głogowski czuje się w gatunku poematu pół-epickiego typu „Antek” i „Miłość ścieżek nieutartych”. Są to utwory stosunkowo najczystsze artystycznie, trafnie ujmujące istotne problemy walki klasowej, o jasnej kompozycji i prawie prostym języku. Mówią one o przekształcaniach społecznych i politycznych na wsi i w oparciu o konkretne, rzetelnie przeanalizowane przykłady (elektryfikacja, rola agitatora wiejskiego, rola spółdzielni produkcyjnej) — i rozwijają je w sposób ideologicznie słuszny i artystycznie — jak wspomnieliśmy — przekonujący. Błędy komplikacji i niesprawdzałnej metafory należą tu już tylko do wyjątków. Wydaje mi się, że właśnie na linii rozbudowy elementów epicznych w liryce i dążenia do jak największej prostoty leży przyszłość poezji Głogowskiego.

Leszek Herdegen

* Jan Maria Głogowski — „Pierwsza miłość”, „Czytelnik” 1951.

HELENA ZAWORSKA

WOKÓŁ „SCHEMATYZMU”

Pierwszy i drugi wąsaty, gruby kutek w maciejuce ukazany przez współczesnego pisarza nie był jeszcze zjawiskiem niebezpiecznym. Niebezpieczeństwo zaczęło się wtedy, gdy się okazało, że kutek w ogóle nie może być chudy, że pisarz odrzucając się od analizy konkretnej rzeczywistości stworzył sobie kulakaworze, który automatycznie zużytkowują w swym utworze. Oto przykład schematyzmu w obrazowaniu.

Za pierwszym i drugim razem, gdy sekretarz Podst. Org. Part. zdecydowanie rozwiązywał trudności produkcyjne po alarmującym liście z Centrali, usuwając wbiętego szpilki w pas transmisyjny wroga klasowego, wszystko było jeszcze w porządku. Skoro jednak zaczął się rozpowszechniać model — wzorzec pewnej konstrukcji walki o produkcję — wtedy rozpoczęło się istotne niebezpieczeństwo. To przykład schematyzmu w konstrukcji ideowo-artystycznej.

Zagadnienie schematyzmu zostało celowo uproszczone w tych przykładach dla łatwiejszego zdefiniowania go oraz określenia konsekwencji ideologicznych. Co więc nazywamy schematyzmem? Niedocenianie w motywacji artystycznej — ideowej utworu całej złożoności i różnorodności przejawiania się pewnych konfliktów rzeczywistości, stosowanie utartych, „wzorcowych” konstrukcji akcji, charakterystyki postaci, motywacji ideologicznej i psychologicznej postępowania bohaterów itd. Jakże są, mówiąc najogólniej, źródła schematyzmu? W pierwszym rzędzie niedowład ideologiczny pisarza, brak pełnej obserwacji rzeczywistości. Konsekwencje ideologiczne i artystyczne schematyzmu są jasne. Rzeczywistość zostaje ujęta w sposób niepełny i ograniczony. Zagadnienie schematyzmu w naszej literaturze wiąże się nie tylko z pojęciem „uzorowania” — schematu oraz z pewną ilością dokonanych z niego odbitek. Schematyzm grozi rozwojowi naszej literatury. O rozwoju literatury bowiem można mówić, gdy mamy do czynienia z pogłębianiem się jej realizmu, bogactwa i pełni obrazu rzeczywistości w niej zawartego. Ukazywanie jednakowo dojrzałych odcinków rzeczywistości, choćby ono było słuszne w pojedynczym wypadku — przy większej ilości tego rodzaju zjawisk hamuje poszerzanie się obrazu rzeczywistości w literaturze, jej realizm — hamuje rozwój literatury.

Z tego jednak nie może wynikać, że schematyzm istnieje i jest niebezpieczny.

Drugi głos

W literaturze, w procesie „kalkowania”, ani że ten proces jest dla schematyzmu zjawiskiem zasadniczym. Przeciwnie — jest on zjawiskiem wtórnym. Zasadniczy jest tu fakt, iż każda książka zawierająca w sobie elementy schematyzmu jest książką o realizmie niepełnym, gorzej — schemat jest nosicielem wyraźnych zniekształceń proporcji realistycznych. Chociażby nawet książka nie powtarzała żadnego określonego schematu, może być schematyczna przez niepełną motywację artystyczną — ideową. Stwierdzenie to jest niezmiernie ważne, ponieważ bowiem zauważyć, że schematyzm nie leży w jakimś zewnętrznym podobieństwie konstrukcji ideowej — artystycznej, w nieoryginalności pomysłu pisarza, ale w ograniczonym widzeniu rzeczywistości. Braki i błędy ideologiczne tworzą schemat, a nie na odwrót. Tak więc schematyzm — co nie zawsze jest rozumiane — nie wypływa z nieoryginalności techniki pisarskiej. Staje się to jeszcze bardziej oczywiste przy uwzględnieniu jeszcze jednego zagadnienia. Każda epoka stwarza pewien podobny typ sytuacji życiowych dla grup społecznych czy całych klas, stwarza pewien typ sytuacji określonych historycznie. Literatura, odbijając te czyste podobieństwa, stwarza konwencje konstrukcji losu ludzkiego, będąc odbiciem konkretnej rzeczywistości, pewnych charakterystycznych powtarzających się konfliktów, motywacji itp. Nie jest to jednak schematyzm, o ile posiada pełnię motywacji artystycznej — ideowej.

Tak więc wyjście ze schematyzmu nie leży w porzuceniu pewnych kręgow tematycznych i pewnych najołowiejszych konstrukcji — konwencji realizmu socjalistycznego. Leży natomiast we właściwej obserwacji rzeczywistości w pogłębieniu ideowym utworu, prowadzącym do wyższego poziomu artystycznego. To tylko może pozwolić na wyzwolenie się od wielu zbieżności techniki i konstrukcji utworu oraz obrazowania — rytmowania przez szablon. Wynikłoby to jasno na konkretnych przykładach, przekraczałoby to jednak ramy tego felietonu.

Gmatwanie tych wszystkich pojęć przez pisarzy oraz przez krytykę, nie zawsze orientującą się w źródła zła, stało się ideologiczne, krytykę, której dość długo wystarczyło samo postawienie nowego tematu i przepisowe rozwiązywanie go w granicach niezawierających programowych błędów polityczno — społecznych — przyczyniło się do powstania pewnej ilości książek obciążonych schematyzmem.

Niestuszną jednak byłaby sugestia, że literatura nasza, ulegając schematyzmowi odeszła w ogóle od realizmu i nie przekazała nic z istotnych rysów rzeczywistości, którą miała odbijać. Wiele utworów zdołało się od schematyzmu uchronić, a nawet często w jednej książce przebiegały linie pełnej obserwacji realistycznej, mimo wielu cech schematyzmu. Tam, gdzie schematyzm przeważał do zasadniczych błędów ideologicznych, funkcja realizmu była rzeczywicie ograniczona. W innych wypadkach otrzymywaliśmy obrazy niepełne, ale przecież — obrazy realistyczne.

Obecny etap w tym naświetleniu można więc określić jako rozszerzenie wymagań, poszerzenie kąta widzenia. Przeżyty etap nie był odcieciem od warsztatu realizmu socjalistycznego, nie może być uważany za zjawisko, które odrzucać jako wroga w znaczeniu antagonizmu. Obrócił on się w granicach socrealizmu, czy też dążył do niego, ale z powodu słabości ideowej i artystycznej nie dał w skali ogólnej wielu dzieł o pełni realistycznego ujęcia naszego życia.

*

Jedną z ostatnich prób ogólniejszej rozprawy ze schematyzmem w literaturze stanowił referat Ludwika Flaszana, wygłoszony w grudniu 1950 r. na posiedzeniu sekcji prozy Związku Literatów w Warszawie. Referat, usiłujący problematyzować i wyjaśnić sprawę schematyzmu, był zjawiskiem symptomatycznym. Obok podjęcia niewątpliwie koniecznej walki z niebezpieczeństwem schematyzmu, obok odważnej i potrzebnej krytyki, referat ten zawierał akcenty niepokojące ze względu na fałszywość pewnych założeń, które decydować miały zarówno o linii, na jakiej pociążyć by się mogła dalsza dyskusja, jak i o ocenie źródeł szeregu błędów ideowo — artystycznych naszej literatury. Referat Flaszana w swej części „prokuratorowskiej” był na ogół słuszny, zarzuty były zarzutami uzasadnionymi, wykazywane błędy schematyzmu były konkretne i sprawdzalne. Stusnym wydaje się stwierdzenie, iż nasza literatura współczesna przypomina niekiedy rysunek dziecięcy, który mimo, iż wyrysowany na nim dom jest dostatecznie duży i wyraźny, opatrzonej został na wszelki wypadek wielkim podpisem „dom”, aby już nie mogło być żadnych wątpliwości. Stusnie dopatrzyć się w tym Flaszana niezasadnie, nionej obawy pisarza, iż obraz przez niego nakreślony może posiadać zbyt małą wyrazistość interpretacyjną, wobec czego należy czytelnikowi w sposób jak najbardziej dokładny (a zawiązując mający niewiele wspólnego z obrazowaniem artystycznym) wyjaśnić, że chodzi tu nie o co innego, lecz właśnie o dane zagadnienie i dane rozwiązanie. Jakby literatura nie rozporządzała innymi możliwościami niż mozołne stawianie literackiego napisu pod obrazkiem. Często drogą

do schematyzmu — stwierdza dalej Flaszan — jest mylne wyobrażenie pisarza, iż literatura piękna jest jedyną formą zdobywania wiadomości o rzeczywistości współczesnej i że czego czytelnikowi literat o uświadomieniu, walce klas, roli proletariatu itd nie powie, tego on się z żadnego innego źródła nie nauczy. Konsekwencją tego wyobrażenia ma być fakt, iż literatura ma niezdrowe ambicje stania się encyklopedią życia współczesnego, rywalizując niepotrzebnie przy pomocy metod nie zawsze jej właściwych, z radiem, gazetą, a przede wszystkim z doświadczeniem własnym czytelnika oraz z tysiącami innych możliwości, które sprawiają, że zagadnienia te nie są nam obce.

Nie starajcie się być dostarczycielami wiadomości, uogólniajcie je, zachowujcie proporcje w ich wyborze, ukazujcie w żywym przecięciu z losami człowieka — przekonuje Flaszan.

Referat Flaszana cechował ton oskarżycielski. Referent oskarżał wszystkich i wszystko: literaturę za to, że schematyczna, krytykę za to, że zbyt pobłażliwa, pisarza za to, że daje utwory słabe artystycznie, uproszczone, deformowane oraz tawizną schematyzmu. I tu należałoby postawić referentowi dwa główne zarzuty. Pierwszy: Flaszan w swoim zapędzie krytyki popada właściwie w negację wartości literatury współczesnej. Brak dokładnego określenia istoty schematyzmu, jakiegoś ścisłego zdefiniowania tego pojęcia, doprowadził referenta do operowania nim w sposób dość dowolny. Referat nie stawia zagadnienia w ten sposób: literatura współczesna jest realistyczna, przejawiają się w niej jednak wyraźne skutki nacisku obcych realizmowi metod pisarskich, do których w pierwszym rzędzie należy schematyzm. Referat sugeruje stwierdzenie wręcz odwrotne i głęboko niekuszące: literatura współczesna nie jest realistyczna, przeważa w niej maniera schematyzmu, chociaż niewątpliwie pewne osiągnięcia realistyczne należałoby zanotować. Ta sugestia referatu dowodzi zasadniczego zatrącenia perspektywy rozwojowej naszej współczesnej literatury, zatraty proporcji, w jakich występują w tej literaturze typy ideowe — konstrukcyjne, stanowiące o jej zasadniczym realistycznym koście.

Zarzut drugi: to niekuszące dostrzeżenie źródeł błędów przede wszystkim w stronie formalnej. Szczegółowa analiza i stwierdzenie Flaszana sprowadzało się właściwie do tego, że głównym brakiem naszej literatury jest niedowład warsztatu artystycznego, niemożność przedstawiania istotnych konfliktów w sposób właściwy i pełny, zejście na łatwiną ideową i artystyczną. Autor uprzedził nadmieniał kilkakrotnie, iż źródło schematyzmu tkwi m. in. w nieprzepracowaniu społeczno — ideologicznym pisarza, jednak te stwierdzenia nie stanowiły w referacie głównej linii, po której powinien pójść atak krytyki. Według Flaszana strona formalna, nieopatrność artystyczna, są głównymi źródłami błędów. Na ten też odcinek Flaszana kieruje przede wszystkim swą uwagę.

Nie docenia natomiast wagi problemu słabości ideowej pisarza oraz braku solidnego przygotowania ideologicznego, jako podstawowych braków, uniemożliwiających trafną obserwację i dojrzałą analizę. Właśnie ów brak znajomości kategorii, które by mogły zjawisko określić i wyjaśnić do końca, brak wyrobienia społecznego, politycznego, ideologicznego naszych pisarzy sprawia, że konstrukcja losu ludzkiego oraz ocena i analiza konfliktów są uproszczone, że schematyzm jako ograniczenie niedożre pole widzenia świata jest już bezpośrednią konsekwencją tych braków.

Referat Flaszana nie postawił również jasno sprawy dla tematu tego zasadniczej: sprawy schematyzmu i schematu a raczej pewnej konwencji typu konstrukcji ideowo-artystycznych, charakterystycznych dla danej epoki, danej klasy, danego momentu historycznego, o czym była mowa wyżej. Referat dawał się mieć niekuszenie pretensję do tego, że nie postawia się tematy, konflikty, typy bohaterów. Nie w tym jednak leży błąd naszej literatury, że tematyka jej, bohaterowie, możliwości rozwiązań zasadniczych konfliktów są określone przez logikę naszej rzeczywistości, lecz w tym, że zagadnienia te przedstawiane są w sposób schematyczny, tzn. uproszczony, niedojrzały, nie dający pełnego odbicia rzeczywistości, nie umiędzierzawiający na dostrzeżenie całej dynamiki i złożoności jej rozwoju. W referacie Flaszana zasadnicza różnica między schematyzmem a pewną konieczną konwencją literacką niekiedy zanikała się. Wypływało to ze wspomnianego już braku definicji schematyzmu — braku dokładnego określenia istoty tego zjawiska, co w konsekwencji prowadziło do symptomatycznej przebiegłości, polegającej z jednej strony na określaniu przy pomocy schematyzmu wszystkich (nawet nie ze schematyzmem nie mających wspólnego) błędów naszej literatury, z drugiej zaś — na pewnym pomniejszaniu pojęć schematyzmu i typowej, słusznej, koniecznej konwencji literackiej.

Referat Flaszana zapoczątkował prawdopodobnie dyskusję o schematyzmie. Sytuacja bowiem dojrzała do tego, by rozprawa ze schematyzmem stała się ważnym etapem walki o wysoki poziom ideowo — artystyczny literatury realizmu socjalistycznego.

Helena Zaworska

ANDRZEJ DRAWICZ

NIEUTARTE ŚCIEŻKI MIŁOŚCI

Twierdzić, że analiza krytyczna poszczególnego utworu nabiera walorów pełni i głębi dopiero przy zestawieniu go z innymi pozycjami danego twórcy, że w perspektywie ogólnej może recenzent szczególnie wyraziście ocenić szczegóły — jest to wywodzić otwarte drzwi. Truizm taki nabiera jednak cech postulatów szczególnie ważnych w obliczu pewnych zjawisk, uwidoczniających się na materiale dorobku literackiego niektórych naszych poetów. Myślę o tych autorach, których wcześniejszy czy późniejszy debiut stał pod znakiem burzliwych obciążań przez relikty burżuazyjnego dekadentyzmu, w jego wielu złożonych postaciach — a którzy zrobili w swych dalszych utworach poważny krok w kierunku ich przezwyciężenia. Wyniki, do których doszli, bardzo często nie są jeszcze w pełni zadowalające — ale miara rzetelnego wysiłku twórczego dana jest w zestawieniu punktu wyjścia i punktu doświadczenia, pomagając obserwatorowi wytyczyć i ocenić linię rozwojową poety.

Do tego typu autorów należy i Jan Maria Głogowski.

Sprawa Głogowskiego posiada tu niewątpliwie pewne szersze znaczenie. Tracenie z oczu linii ewolucyjnej jego poezji, niedocenianie elementów przełomu, występujących w jego ostatnich utworach oznaczałoby przekreślenie możliwości przedstawiania się na tory poetyckiego realizmu u tych pisarzy, związanych z tradycjami „literatury wiejskiej”, u których obciążenia „chłopskiego nadrealizmu” z czasów 20-lecia międzywojennego wciąż jeszcze wywołują poważne spustoszenie w ich twórczości poetyckiej. Logika rozwoju naszej literatury niewątpliwie pcha ich jednak ku rozwiązaniom słusznym i artystycznie dojrzałym.

Poważne sprzeciwy, jakie budzi z reguły niemal wśród krytyków wiele z utworów Głogowskiego, zwłaszcza tych objętych wydaniem ostatnim tomem „Pierwsza miłość” — muszą stracić na ciężarze gatunkowym z chwilą uświadomienia sobie, jak wielka rozpiętość założeń ideowo — tematycznych i warsztatowych cechuje pięcioletni dorobek poety.

Debiut Głogowskiego — wydrukowany w r. 1946 tomik „Wieżnia i chłop” — to w żadnym razie nie tak bardzo „pozytywne zjawisko na tle ówczesnej literatury” — jak chce tego w zamieszaniu obok wypowiedzi L. Herdegena. Pogłosy „szczerzej prosto” były w objętych zbiorach utworów — gruntuje przytoczone

balastem wybuchającą metaforą i dziwnych skojarzeń — i niemię gruntownie w konsekwencji zaciemnione pogłosami wszelkiego rodzaju „mów”, usuwających ówczesny dorobek Głogowskiego poza zainteresowania szerszych kręgów czytelniczych.

Stąd też niewątpliwie autentyczność i szczerota przeżyć więzionej za drutami obozów koncentracyjnych człowieka, w konsekwencji jego zagubienia światopoglądowego, nie znalazły wyrazu w odpowiednio wypracowanym zasobie środków formalnych.

Sytuacja nie ulega zasadniczej zmianie i w tej części tomu, gdzie poeta, już w okresie powojennym, poszukuje ucieczki od wspomnień i odpoczynku na „wsi spokojnej”.

Dowodem próby uchwycenia pewnego fragmentu rzeczywistości mieszczańskiego się w ramach tematyki okupacyjnej — był poemat „Opowieści krajoznawcy”. Próba — należy od razu stwierdzić — zawiodła na całej linii wobec braku należytej sprecyzowanej motywacji politycznej i realistycznej w utworze.

Wypada tu raz jeszcze podjąć polemikę z niektórymi tezami cytowanej wypowiedzi krytycznej L. Herdegena. W pewnym miejscu sformułowanie (znamienne, jak wynika z dalszego ciągu, dla ogólnej opinii o zbiorze) — brzmi następująco: „Błędy pierwszych dwóch książek Głogowskiego odczuwały się w najwłaściwszym jego tomiku pt. „Pierwsza miłość”. Czy nie należałoby jednak zaznaczyć, że oprócz błędów zbiór stanowi zupełnie wyraźny „nowum”, prowokujące krytyka do zwrócenia bardziej żywej uwagi, a czytelnika — do zapoznania się z jego treścią? Jasną chyba rzeczą jest zaśługa pisarza, który dokonał poważnego wysiłku objęcia kręgiem zainteresowań tematyki wsi, ujętej pod kątem zachodzących w tej wsi przeobrażeń.

Mówimy więc — tematyka wiejska. Jednakże autor dostrzega wśród obrazów przemian zachodzących na wsi przede wszystkim aspekt upowszechnienia kultury. Sentyment zaś każe mu utrzymywać w poetyckim słowie także szereg zjawisk już anachronicznych, stanowiących element dawnej „wsi spokojnej”.

Krag doświadczeń autora jest jeszcze ciągle kręgiem inteligentnej społeczniczki, cieszącego się zakładaniem gminnych bibliotek, zwalczaniem analfabetyzmu, śpieszącego z zaciekalaniem na swe wieczory autorskie — a zarazem obserwującego z sentymentem krosna, pracę

garncarza, czy wieśniaczki na targu.

Wszystko to prawda. Należy jednak z naciskiem podkreślić, że zasób doświadczeń Głogowskiego ulega znacznemu rozszerzeniu w dalszych partiach tomiku. Szczególnie silnie uwydatnia się to w obrębie dwóch większych utworów „Miłość ścieżek nieutartych” i „Antek”. Poeta przewidywał tu w pełni swe niedawne stanowisko, traktując wieś jako egzotyczny rezerwat ciekawostek kulturalnych, dostrzega i aprobuję perspektywę postępu na wsi:

„Więc uwierz synowi, że cep,
plug i kosa
trzeba przestać muzeum kultury
ludowej...”

Zasadniczym momentem decydującym o wadze i znaczeniu nowych elementów poezji Głogowskiego jest fakt dostrzeżenia przez poetę przejawów walki klasowej na wsi. Poszukiwanie właściwej struktury poetyckiej dla tych problemów — przynosi wątek narracji epickiej. W „Miłości” jest on jeszcze dość niki — często przytacza go bezpośredni komentarz odautorski, mający przydać opisywanym wypadkom znaną „szerszego odciechu”. Walka klasowa ogniskująca się wokół problemu elektryfikacji wsi przybiera wskutek tego znaną dość mglistą i migawkową. Punkt kulminacyjny — zebranie gromadki, na którym starzy chłop rzucił prawdę w oczy kulakom, grzeszy konwencjonalnością i schematyzmem — postacie ujmowane są jedynie jako ilustracje dla pewnych tez, bez troski o ich psychologiczne pogłębienie i prawdopodobieństwo. Całość reprezentuje jednak przy tym wszystkim pewne wyraźne osiągnięcia.

Przeświadczenie o postępie w twórczości Głogowskiego pogłębia się jeszcze przy „Antku” — wartki epicki tok narracji obejmuje tam wyraźnie zarysowany konflikt chłopca, wyzyskiwanego wraz z rodziną przez kulaków a wziętego w obronę przez organizację ZMP-owską. Z zainteresowaniem obserwujemy, jak ściśle warunkują się nawzajem rozwój świadomości i pogłębienie techniki twórczej poety. Walory artystyczne „Antka”, mimo wyraźnych niedociągowań, zbliżają utwór do realistycznego typu konstrukcji poetyckiej.

Jako niebezpieczeństwo trzeba natomiast zasygnalizować pewne skłonności do schematyzacji — zarówno w jednym jak i w drugim utworze ostrze walki klasowej błyska

w świetle elektryczności — a wroga robota przebiega głównie po linii przecinania przewodów i niszczenia instalacji. Moment ważny — nie jest przecież najbardziej istotny i typowy — mójmy nadzieję, że w przyszłości nie będzie on przesłaniał autorowi całego szeregu innych starć i konfliktów.

Wśród innych pozycji „Pierwszej miłości” należy wymienić np. wiersz o nowej Warszawie („Miasto młodego zapalu”). Tendencje komplikatorskie jeszcze w nim pokutują, ale oto odzyska się i nuta prostoty, szkoda że wpadająca w zdwakowosć.

Jedną z lepszych pozycji zbioru jest natomiast wiersz „Szukalator”. Ukazawszy w prosty i niebanalny sposób robotnika podpisującego Apeł Sztokholmski konstatację autor: „Pewnie to najpiękniejsza jego sztuczka”. Zarysowujący się już motyw walki o pokój nie został jeszcze należycie opracowany — „Palce, które są wyrokiem” nie przekonują w zupełności, a niespodziewana apostrofa o lśniącym nad horyzontem gołębiu pokoju w „Szydlowie, mieście nieznanym” sprawia wrażenie czegoś nieprzemysłanego a sztucznie doczeponego.

Jak wynika z przeprowadzonych rozważań dla zdania sobie sprawy jaki etap rozwoju poety reprezentuje jego obecny dorobek, należało zorientować się jak przebiegała od początku linia tego rozwoju. Dochozimy w związku z tym do przekonania, że Głogowski postępuje wyraźnie naprzód. Nieuniknione na tym etapie jego rozwoju załamania będzie można wyeliminować w warunkach zwiększonej czujności ideologicznej i w związku z tym — należytej dbałości o realistyczne środki wyrazu.

Twórcze przemyslenie i opracowanie w swej poezji najbardziej zasadniczych problemów współczesności wymagać będzie od autora unikania uproszczeń i konwencjonalnych łatwin, wchodzących czasem w miejsce dawnego komplikatorsztwa. W przeciwnym razie obrazowanie poetyckie zamknie sztuczne ramy konwencjonalizmu i schematyzmu, a całość — obarczona tymi grzechami głównymi naszej literatury — nie uzyska należytego rezonansu społecznego, nie spełni podstawowych ideowych i artystycznych funkcji utworu poetyckiego. Uwzględnienie lub zlekceważenie postulatów czujnej i sumiennej pracy nad swymi utworami zadecyduje o obliczu przyszłych zbiorów poezji Głogowskiego. Oby każdy z nich był lepszy od poprzedniego.

Andrzej Drowicz

KRYSZYNA PAŁYS

OLEJARNIA W BODACZOWIE

NAD Bodaczowem przelatują nisko szare, ciężkie chmury, z których odrywa się co jakiś czas ukośna ściana jesiennego deszczu i sieć drobniutkich kropelkami w okna chałup. W jesiennym szarudzie jeszcze boleśnie wspominać będzie sprzed lat tej wielkiej, bo liczącej blisko dwa tysiące dusz a trzy i pół setki numerów wsi.

Taki dzisiaj niewesoły dzień, jak moje dawne życie — powiada Franciszka Banachowa, wdowa i matka trojga dzieci, patrząc na ogalone liście i budyłami chałupy, na pochyloną ku ziemi stodołę.

Wspomnienia ciężkiej przeszłości są codzienną pieśnią nie tylko Banachowej, mówią o nich wszystkie starsze kobiety we wsi, ponieważ Bodaczów stanowił największą wyspę nędzy na niezmiernych posiadłościach hrabiów Zamojskich. Cukrownia Klemensów z jednej, dwudziestohektarowy park z drugiej, a za nim lasami majątków przepłatały lasami, przypomniały co dzień mieszkańcom tej wsi, że pod wspólnym niebem istnieje dwa światy.

Zamojscy gromadzili wspaniałe zbiory cennych dzieł w zwierzyńcu, nieckiej bibliotece, szczytając się „białymi krukami”, stawiali stajnie — pałace dla koni wysięgowych w niedalekim Michałowie, a dzieci bodaczowskie nabawiały się grzybli i jaglicy w czteroklasowej szkole,

Przemysł olejarski nie mógł z powodu trudności od niego niezależnych należycie zorganizować produkcji i mimo istniejącej ochrony celnej na oleje lniane i rzepakowy, produkowane w dużych ilościach w Polsce, olejarnictwo nie jest w stanie zatrzymać w kraju wszystkich ilości nasion olejnych celem przerobu ich we własnych wytwórniach.

Rozwodził się potem inżynier Podraszko szeroko nad tym, jak to rząd ówczesny zadowolony się nałożeniem cła na gotowy produkt, a surowiec wywożono w jesieni każdego roku w dużych ilościach, tak że na wiosnę przy końcu sezonu, dla pokrycia zapotrzebowania fabryk, musiano sprowadzać do Polski nasiona oleiste z krajów zamorskich. Przemleczka tylko „dyskretny” inżynier, kto krył się za tymi wszystkimi machinacjami celnymi, czy wywozowymi i w czym interesie musiano sprowadzać zagraniczne nasiona po cenach o wiele wyższych od cen otrzymywanych za len i rzepak.

Jaki udział przypadał koncernowi „Unilever” z samej tylko sprzedaży nasion, mówi najwyraźniej ta mała statystyka:

Obroty nasionami olejnymi w kraju wynosiły:

w roku 1926 — 12.896 ton
w roku 1927 — 22.620 ton.

Przewóz nasion olejnych obliczono:

w roku 1926 na 11.525 ton
w roku 1927 na 25.331 ton.

Polski przemysł tłuszczowy był więc całkowicie uzależniony od dostaw koncernu.

Inżynier Podraszko przeszedł również do porządku dziennego nad sprawkami polskich karteli, nie dopuszczających podówczas chłopów do uprawy roślin przemysłowych, bo oznaczałoby to ograniczenie obfitych zysków ziemiaństwa, stojącego razem z finansjerką u steru „nawy państwowej”.

A czy mógł chłop bodaczowski kupować makuchy, gdy jego dzienny budżet rodzinny wahał się w granicach od 50 groszy do złotego?

BĘDZIE FABRYKA...

Zmiany powojenne zaczęły się od przyjazdu nowego kierownika szkoły. Zaraz na wstępie zwołał na zebranie, na którym wyłożył jasno, że nauka w ciasnych, chłopskich izbach nie przyniesie wielkiego pożytku. Jak Bodaczów Bodaczowem, nie zabierało tylu ludzi głosu i nie sprzeczało się tak gorąco jak na tym zebraniu, skończyło się na uchwaleniu, zobowiązującej gromadę do budowy szkoły wspólnymi siłami.

Zakupili potem plac przy sosie, zdobyli materiały i przy pomocy gminy wystawili obszerny budynek z korytarzem, wybrukowali podwórko i założyli ogródek. Od trzech lat uczy się tutaj dzieci już w pełnej, siedmioklasowej szkole.

Nie dawało jednak kierownikowi spokoju, że młodzież, która wyszła ze szkoły przed jego przyjazdem do wsi, zbija baki, chodzi na ryby, albo pasie krowy. Zebrał więc tę gromadkę, poduczył i wysłał na egzamin wstępny do Liceum Pedagogicznego w Szczepleszynie. W taki to sposób wyszli na nauczycieli Mieczysław Duda, potem Henryk Pomarański, a w tym roku kończy liceum Janina Borowska. Syn biednego szewca Ziob wyjechał do szkoły kartograficznej w Warszawie, Czesław Kupiec i Hanulak dosłużyli się w wojsku stopni oficerskich.

Starzy nie spodziewali się dla siebie zmiany nawet wtedy, kiedy to na polach oddzielających wieś od parku pojawili się ludzie z aparatami mierniczymi. Alboż to raz widzieli geometrów na polach.

— Będzie budować fabrykę — o powiadał na kilka dni w każdym domu.

— Może tam za jakich dziesięć lat i będzie ta fabryka, wiemy jak budować cukrownię w Klemensowie — podkreślali z rezerwą gospodarze uchodzący za najbardziej doświadczonych. — Niejedną jeszcze raz urodzi się żyto na miejscu, gdzie ma być fabryka — zapewniali.

A tymczasem w drugiej połowie kwietnia zaroilo się na polach od ludzi. Przyjmowano do roboty każdego, kto miał dobre chęci i zdrowe ręce. Na plac budowy zaczęli sięgać pieśń i z wozami chłopów z Wieliczki, Niedzielskiej, Sasładki, Rożuk, Michałowa a najwięcej z Bodaczowa. Trzy setki wozów przewoziło ziemię na nasyp pod bocznice kolejową, która miała połączyć przyszłą fabrykę z torami w Klemensowie. Na trzech kilometrach wysypano 50 tysięcy metrów sześciennych ziemi.

We wrześniu kończyli wykop pod betonowy przyrządek. Bez koszuł, w gumowych butach stali po kolana w mule rzeźnym i wyrzucali z oszalowanego dołu szlam. Przy ręcznej pompie pracowała Fela Misiarz. Była to jej pierwsza okazja do zarobku, bo nie łatwo go znaleźć dziewczynie z ukończoną drugą klasą szkoły podstawowej. Misiarzówna spuszczała w dół oczy i tłumaczyła się, że nauka jej nie sła, dostawała od czytania zawrotów głowy.

— Ej nie było to od czytania, ale od zaduchu, w jakim dawniej siedziały w szkole bodaczowskie dzieci w wynajętych chałupach. — prostował Tomasz Pilip ze Szczepleszyna. — Dobrze wiem jak to było, bo

sam kiedyś pracowałem jako woźny. Przyszedłem tutaj, bo i zarobek lepszy — no i zadowolenia więcej. Pokażę kiedyś moim wnukom ten most na Świnie, fabrykę i powiem: Patrzcie, to stawał nasz dziadek!

Kiedy wielki trzykilometrowy wał nasypu sięgał już placu fabrycznego i wykopów pod fundamenty, na drugiej stronie 47-hektarowego placu ruszyła z miejsca produkcja cegły — cementówki i prefabrykowanych elementów do konstrukcji dachu.

Od strony parku roilo się jeszcze od furmanek, a od Bodaczowa rosły stosy cementówki. Na tablicy pracobników pracy pojawiło się nazwisko Jana Karola, wyrabiającego ze swojej brygadą 200 proc. normy. Nie upłynęły dwa tygodnie od tego czasu jak na całej budowie opowiadano, że córka małorolnego chłopca z Niedzielskiej Zofia Noszał awansowała na brygadierkę w grupie transportu wewnętrznego. Potrafiła tak zorganizować pracę, że nigdy nie notowano w jej brygadzie mniej od tego, co wyrobił Karol.

A materiał do budowy trzeba było coraz więcej, bo zbrojarze i murarze wprawiali się w robotę. Małorolny kowal z Niedzielskiej, Karol Lewiński, który dotychczas nie wychodził z wiejskiej kuźni, na budowie szedł w zawody z wykwalifikowanym zbrojarzem Janem Gardzielem i nigdy nie zapisywano mu mniej od 125 proc. Zdystansował go po jakimś czasie Henryk Ciurysek.

Zamojscy murarze założyli na tej budowie całą szkołę. Franciszek Suchowier, doświadczony fachowiec, dla którego 300 proc. normy było zawsze wydajnością pracy do osiągnięcia, miał nie być jaką pomocą. Janina Jarczyńska drobna i szczupła ale bardzo energiczna, dowodziła brygadą podręcznych w spódnicach. Opowiadały, że zarabiają w ciągu miesiąca tyle, ile ma dochodu niejednego bodaczowskiego gospodarza. Po sprawdzeniu w aktach budowy okazało się, że nie przesadzały. Jest tam zaświadczenie z Gminnej Rady Narodowej, w którym mowa o rocznym dochodzie 2.200 zł z dwóch hektarów ziemi, a podręczne otrzymywały po 700 zł miesięcznie.

W Brygadzie Jarczyńskiej odszukał Justyn Banach, córkę wdowy Banachowej, która porównywała swoją przeszłość do dzisiejszego jesiennego dnia. Justynka jest daleka od myśli matczyńskich, dla niej nawet dzień dzisiejszy — jest już przeszłością, bo całe zainteresowanie młodej dziewczyny biegnie w przyszłość, planuje jak sobie ułożyć życie, gdy stanie do roboty w nowej fabryce. Brat jej po ukończeniu szkoły pracował w lecie też na budowie i nie wiadomo, czy nie wyjedzie uczyć się dalej na koszt Lubelskiego Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego, które już wysłało do Wrocławia Wacława Pysia na studia techniczne.

Justyna nie patrzy na poczerwienie w szarudzie jesiennych chat, ale zatrzymuje wzrok na pierwszym bloku osiedla robotniczego, odcinającym się żywo, czerwonym plamą na szarym tle zabudowań strzech. W kilku miesiącach wyrósł już jeden, na drugi rok będzie ich cztery a pod koniec robót budowlanych — dwadzieścia. W takim osiedlu chciałaby mieć Justynka mieszkanie, bo ani ona, ani jej rówieśnicy już z tej fabryki nie odejdą.

„EKSTRAKcja”

Starzy wybierali się jeszcze zbierać ziemniaki w tym miejscu, gdzie stoi dwupiętrowy, olbrzymi budynek. Okazało się, że nie zdążyli ich wykopać, dostali odszkodowanie. Wielki blok w kształcie dużej litery „T” jest już na wykończeniu. Tam gdzie wysokie okna sięgają drugiego piętra, będzie sala teatralna, kinowa, biblioteka i czytelnia, jakich niejedną chłop z Bodaczowa w życiu swoim nie widział.

W maju słowo „budowa” oznaczało tylko zniwelowany plac i rosnący nasyp kolejowy. W czerwcu rosły już mury biurowca, w lipcu pięta się w górę tęcznia, w sierpniu dziesiątki łopat wgrzywały się w ziemię tam, gdzie stała kotłownia i ryły skłasyły teren pod fundamenty „ekstrakcji”, we wrześniu na fundamentach rozpoczęła się wyścig murarzy wzwyż.

Cudaczne dla bodaczowian słowo „ekstrakcja” przestało być zagadką. Każdy z nich już wie, że w prywatnych olejarniach zamojskich, gdzie olej tłoczono takim samym sposobem jak przed stu laty, marnowało się wiele tłuszczu. Dlatego w kombinacie dawny system tłoczenia zastąpiła metoda ekstrakcji ciągłej, pozwalająca wyciągnąć z nasion o 6 — 7 procent więcej tłuszczu. Do tego są potrzebne maszyny, które już nadchodzi z Niemieckiej Republiki Demokratycznej i z Węgier. Wyładowały dotychczas 30 wagonów różnych części, a montaż rozpocznie się w przyszłym roku.

A makuchy — makuchy, o których pisał inżynier Podraszko?

Przy fabryce stanie magazyn — silos, największy w Polsce gmach o 14 piętrach, z którego pompy pneumatyczne będą przysyłały do tłoczni nasiona lnu i rzepaku a stamtąd do ekstrakcji. Wysocki i śruta nie pojadą za granicę, będzie je jadło nie tylko bydło z Bodaczowa, ale z całego województwa we wsiach, majątkach PGR i spółdzielniach produkcyjnych.

Krystyna Pałys.

JAN ŁAZARZ

U D E R Z W S T Ó Ł...

Polemika z ob. Jelonkiem z Porąbki, zamieszczona w ostatnim zeszytowanym numerze „Wsi” dowodzi, jak potrzebne jest dla aktywności terenowej stałe czuwanie prasy nad życiem świetlic wiejskich. Ale jeśli w polemice zwrócono uwagę na brak opieki materialnej nad świetlicami, jako przyczynę załamania się życia świetlicy w Porąbce, to nie od rzeczy będzie powiedzieć o innej przyczynie „usychania” tych świetlic, które poprzednio „kwitły”.

Tą przyczyną są niejednokrotnie skutki zaostreżenia się walki klasowej w ogóle — w skali międzynarodowej i w Polsce — a w szczególności u nas, na wsi.

Walkę klasową na terenie świetlic widzimy nie od dziś. Ale czy aktywność wiejskich uświadomił sobie całą różnorodność przejawów walki klasowej na tak specyficznym odcinku, jakim są świetlice? Niedawno jeszcze, bo dwa lata temu na pierwszy plan walki wysuwano sprawę repertuaru zespołów artystycznych. Walka o nowy repertuar przesłoniła inne zjawiska w świetlicach. Jakże wymowny jest fakt, że w ankietach świetlicowych Zw. Samopomocy Chłopskiej w punkcie dotyczącym zarządów świetlic brak było do końca 1949 r. rubryki o przynależności organizacyjnej i klasowej członków zarządów świetlic. Prowadzono walkę o nowy repertuar, ale zapomniano o badaniu, kto kieruje życiem świetlicy. Może myślimy, że w procesie wprowadzania nowego repertuaru samorzutnie będzie się w świetlicach dokonywać zmiana: reakcyjne nastroje członków zarządów świetlic odejdą sobie, a na ich miejsce bezboleśnie wejdą inni?

Widziano wówczas takie np. przejawy walki klasowej na terenie świetlic, jak próby rozpędzenia młodzieży, jak ograniczanie pracy świetlicy wyłącznie do zabaw w odniesieniu do holu, jak poszczególnie wysoki kulakowie w postaci wybiecia szyb nocą w lokalu świetlicy itp.

A były przecież i inne zjawiska. Aktywność polityczną gromady starał się upolitycznić pracę w świetlicy i kiedyś młodzież na miejsce „Panny krakuteczki” wprowadził na scenę za ledwie — „Vesele Jagny” z jej słabym jeszcze antykulackim ostrzem, już niektórzy ówczesni „fachowcy” od prowadzenia zespołów, chorów i zajęć rezygnowali z pracy w świetlicy pod różnymi pozorami, uprowadzając za sobą część młodzieży. Pozbawiali resztę uczestników świetlicy kierownictwa, obecnego z techniką pracy świetlicowej i w rezultacie doprowadzali do „usychania” świetlic.

Takich rzeczy jakoś nie analizowano się wówczas i nie tłumaczyło aktywności, że za przypadkowym „pokłóceniem się” kierownika zespołu z zespołem, że za wymową nauczyciela: „obecnie za dużo mam zajęć zawodowych, aby udzielać się świetlicy” — że za tym wszystkim może się ukrywać inna przyczyna: ludzie ci odchodzą ze świetlicy, bo nie odpowiadają im kierunek pracy, nadany ogólnie i poparty przez masę pracujących chłopów, ich synów i córki. Odechodzą nie cicho i spokojnie, ale starają się

świetlicę rozbić, zniszczyć jej dorobek. W przeciągu krótkiego czasu psuje się lub znika radio, giną gry, ktoś zabiera stół, który poprzednio ofiarował świetlicy i tak dalej. Przypadek, chwilowy brak opieki, czy zupełnie co innego?!

Mieliśmy oczywiście wiele setek wypadków, że żywiołowo powstawały zespoły na nowo, kierownictwo obejmowali nowi ludzie, praca postępowała dalej, do zniszczenia i „uschnięcia” nie dopuszczono. Jednakże procesem tym nie kierowaliśmy z pełną świadomością.

Rok 1951 był rokiem wielkich bitew klasowych na wsi: akcja skupu zboża w lutym — marcu, na „wielkim placu budowy” wyrastały i wyrastały setki kombinatów i gigantów, walka o wykonanie zobowiązań wsi wobec państwa na jesieni, walka o tworzenie i umocnienie spółdzielni produkcyjnych. W wyniku tych walk kryształuje się aktywność polityczną na wsi: oczyszczają się szeregi partii politycznych, stary aktywność wzmacnia się, ubojawia, wyrasta nowy aktywność polityczny, zdezmokowani zostają w oczach mas kulacy, ich poplecznicy i obrońcy.

Czy mogą te procesy nie znaleźć odbicia na terenie świetlic? Historia świetlicy w Porąbce zdaje się być wyraźnym tego przykładem. Warto, żeby ob. Jelonek zastanowił się nad tą stroną zagadnienia i poszukał ukrytych sprężyn rozbić pracy w świetlicy. Bo wróg pokonany na jednym terenie szuka odwetu na innym, bo z każdą porażką zaciekłość jego i nienawiść wzrasta, zmieniają się jego metody walki z tym co postępuje.

Nauki III Plenum KC PZPR są zawsze aktualne i warto, aby aktywność polityczną na wsi jeszcze raz zastanowił się nad nimi w odniesieniu do świetlic. Warto też zastanowić się nad realizacją trójedynego hasła leninowskiego, jeśli chodzi o świetlice, ich zarządy, ich aktywność.

Obserwujemy, że z wielu świetlic zniknęły tańce i zabawy. Walczyło się kiedyś z nadmiarem zabaw, do których często sprowadzała się cała działalność świetlicy. Nasuwa się pytanie, czy całkowity zanik zabaw w świetlicy jest pożyteczny i zdrowy? Badamy tę sprawę. Okazuje się, że zabawy nie odbywają się, bo wynikają awantury, bójki, dochodzi do demolowania lokalu. Aktywność świetlicy nie potrafi sobie z tym poradzić. Jeśli wejść głębiej okazuje się, że chuligaństwo wywoływane jest celowo. Mamy do czynienia nie z przypadkiem, ale z robotą celową, zmierzającą do rozbić świetlicy, do demoralizowania młodzieży, odciągania jej od świetlicy i oddawania pod kontrolę kłechy — reakcjonisty, sprzymierzonego z „bikiniarzem” i kulakiem. Jak np. w Otmęcie pow. Strzelce, gdzie cała szajka łobuzów urządziła burdy przed miejscowym kinem, odstręczając spokojnych ludzi od chodzenia na filmy.

Kulturalna rozrywka w świetlicy, zabawa bezalkoholowa, szczególnie połączona z występami zespołu artystycznego, są to również formy oddziaływania wychowawczego, które potrafią przyciągnąć do świetlicy i

do pracy w świetlicy wielu takich, których w inny sposób nie udało się ogarnąć. My wcale nie jesteśmy przeciwni wyrażaniu radości życia w tańcu i w zabawie towarzyskiej, przecież tworzymy życie pełne radości, wolne od wszystkich zmór, nekających ludzi w ustroju kapitalistycznym.

Pełny brak form zabawowych pracy w świetlicy zwięża jej zasięg i możliwości oddziaływania. A bywa przecież tak, że kiedy wróg zmusił świetlicę do rezygnacji z urządzania zabaw, to niekiedy krótkowzroczny aktywista cieszył się: praca w świetlicy „spowolniała”. Zwycięstwo w walce klasowej na tym odcinku polega nie na wyrzuceniu się zabaw, ale na energicznym położeniu kresu wybrakom chuligańskim siłami kolektywu świetlicy, aktywność polityczną gromady i przy współdziałaniu władz państwowych.

Jednym z centralnych zagadnień w realizacji Planu Sześcioletniego jest dla wsi zwiększenie tempa wzrostu produkcji rolnej.

Jest zwykle w gromadzie kilku mało i średniorolnych, otrzymujących rokrocznie wyższe przeciętne plony, lepsze wyniki hodowli przy równych mniej więcej warunkach gospodarczych z innymi chłopami. „Dobrze gospodarują”, Rzeczywiście, znajdziemy u nich w gospodarstwie zbiornik na gnojówkę, prawidłowo przechowuje się obornik, kompost, prawidłowo stosuje się nawozy sztuczne, sieje rzędowo, dokonuje podorywki, niszczy chwasty, stosuje plony i śródplony, silosuje pasze itd. itp. Zadaniem świetlicy będzie upowszechnić w gromadzie ich doświadczenia, przekonać resztę chłopów do stosowania podobnych metod gospodarowania. Jak to zrobić? Trzeba posłużyć się różnymi formami pracy. Będzie to systematyczne wyróżnianie przodujących gospodarzy w gazetkach ściennej, zamieszczanie ich fotografii, może wycinków z prasy, w której ukazywały się o nich wzmianki. Można następnie zastosować formę od dawna praktykowaną w ZSRR, a i u nas popularyzowaną już w Polskim Radiu: urządzanie wieczorów artystycznych na cześć przodujących rolników. Każda piosenka, każdy występ zespołu dedykuję przodownikom w nagrodę za ich osiągnięcia.

Jeśli świetlicy uda się w ten sposób wytworzyć sprzyjający klimat w gromadzie dla walki o wydajność rolnictwa i pobudzić współwzajemność w tym kierunku, o ile łatwiej pójdzie organizacja kursów rolniczych, pogadek, w których przodujący rolnicy ze wsi i gminy w swobodnej rozmowie z młodzieżą i dorosłymi będą się dzielić swoim doświadczeniem i wiedzą.

„Świetlicowe” środki oddziaływania powinny pomóc aktywności gromadzie w wytworzeniu takiej opinii publicznej, która zmusza będzie w podciąganiu się do poziomu przodujących rolników całą wieś, do uczenia się na kursach, zaglądania do podręczników, do korzystania przez niezdecydowanych z pomocy POM-ów i SOM-ów, do pilnowania pomocy sąsiedzkiej.

Jan Łazarz.

HENRYK WANDOWSKI

BEZIMIENNI BOHATEROWIE

OPANOWANIE przez Hitlera dzięki bojówkom faszystowskim władzy w pamiętnym 1933 roku było groźnym symptomem dla świata. Zanim jednak doszło do „anschlusu” Austrii, aneksji Czechosławii i napadu na Polskę, faszystom w Niemczech zrobiło swoje. Niesłychany wprost terror i towarzysząca mu propaganda szowinizmu hitlerowskiego miały zlikwidować wszelkich wrogów wewnętrznych „narodowego socjalizmu”. Ale ani „pomysłowa” propaganda, ani ostateczne obozy koncentracyjne nie mogły skutecznie wykorzystać ze świadomości ludzkiej tego, co od dziesiątków lat stanowiło przedmiot dążeń proletariatu niemieckiego. Świadomość stanowiła często twierdzą niezłomną. Kazała ona także ludziom walczyć. Walczyli bezwzględnie. Walczyli wytrwale.

Walka ta była tematem pasjonującym wielu postępowych pisarzy niemieckich. Jan Petersen jeszcze raz powraca do niej, składając hołd jej bohaterom. Pisarz poświęcił zbiór swoich opowiadań „nielegalnym” bojownikom antyfaszystowskim, nieznanym, bezimiennym bohaterom”. Opisuje w nich dzieje Niemieckiego Ruchu Oporu w latach 1933 — 1935.

Autor „Naszej ulicy” daje w swoich opowiadaniach niezwykle sugestywny obraz walki Niemiec podziemnych z brudną przemocą. Toczyła się ona w warunkach dla konspiracji bardzo ciężkich, jeśli zważywszy, że hitlerowski aparat przemocy miał do swojej dyspozycji nie tylko tajną policję, ale i dobrorowców oddziały esesmańskie. Oddziały te skupiające najróżnorodniejsze szumowiny społeczne właśnie tutaj, w walce z konspiracją, zdążyły egzystować tak dobrze powtórzone w Oświęcimiu czy Majdanku.

W opowiadaniu pt. „Zmiana war-

ty” Petersen opisuje hitlerowskie metody znęcania się nad więźniami. Oto w podziemiach gmachu polijeli berlińskiej uwięziono setki podejranych o „robotę antypaństwową” ludzi. Aby wymusić na więźniach zeznania, poddaje się ich codziennej „gimnastyce”, polegającej na wykonywaniu przysiadów aż do wycieńczenia. Gdy to nie skutkuje, goni się ich długimi korytarzami, a następnie zmusza do dzwigania długich żelaznych szyn. Ci zaś, którzy i tę próbę zwycięsko przetrzymują, poddani zostają zimnej kąpeli. Gdy i jeszcze teraz nie przyznają się do winy, albo odmawiają składania zeznań, pozostaje ostatnia, chamska, metoda, bicie po twarzy i bezlitosne kopanie umęczonych więźniów żołdackimi buciurami.

W opowiadaniu „Ulica” przedstawiono walkę ulicy proletariackiej i aresztowanie najaktywniejszego działacza dzielnicy, robotnika Franca. W komentarzu odautorskim Petersen mówi:

„Ulica jest długa, domów jest wiele, wszędzie żegnają Franca na zawsze. A z wilgotnych podwórz, z ciasných dachów wyłaniają się czerwone punkciki, ciągną na ulicę, spływają w jeden nurt i stają się czerwonymi sznurami. Stander ten wisi niewidzialny, ale mimo to potężny wśród fasad domów, a na jego szczycie kołysze się krep. Nad nim błyszczą transparenty: Ulica walczy dalej”.

Klasa robotnicza i postępową inteligencją nie tylko walczyły z faszystowską dyktaturą. Obok tego prowadziły także szeroką akcję pomocy rodzinom proletariackim. Aresztowanie działacza rewolucyjnego powodowało głód i nędzę wśród rodzin robotniczych. Przewodzano więc akcje zbiorów, których rezultaty dzielono pomiędzy te rodziny, gdzie ojciec czy syn przebywał w więzieniu. Wzruszający epizod udzielania pomocy materialnej rodzinom aresztowanych skreślił Petersen w opowiadaniu „Nieznani przyjaciele”.

Jan Petersen, który sam przez cały okres rządów Hitlera pracował

w Niemieckim Ruchu Oporu, napisał te opowiadania na podstawie własnych przeżyć i doświadczeń. W książce jego daremnie szukalibyśmy nuty pesymizmu. Wprost przeciwnie. Więźniowie w obozach nie tracili nadziei, że krew ich nie idzie na marne, ale wpatrzni w przykład bohaterów przeszłości Ernesta Thaelmanna, Wilhelma Liebknechta i Róży Luksemburg zносили najgorsze przesładowania. Tym zaś, którzy byli jeszcze na wolności, dawała sił do dalszej walki świadomość, że szeregi armii podziemnej rosła. Wielu, tak jak Emilia i Franca z opowiadania „Rozpoznać”, cechowała chętność, ale sumienie Niemiec, wolne radio, pomogło im w odnalezieniu właściwej drogi!

„...Uwaga! Uwaga! Tu mówi Radiostacja Wolnych Niemiec! Franca coś chytyło to gardło. A więc to prawda. Wątpi, chociaż już od tygodni o tym słyszał. Opowiadali towarzysze partyjni, nawet ludzie nie interesujący się polityką, napominali ostrożnie w swoich rozmowach: antyhitlerowska stacja nadawca co wieczór nadaje wiadomości. Nazywa się „Radiostacja Wolnych Niemiec”. Zdało się, że to jest niemożliwe i nie do pojęcia. A tymczasem w tej chwili staje się rzeczywistością. Gdzieś tam stoi jakiś nieznanomy mężczyzna przed mikrofonem i mówi, nie lękaj się śmierci, byłoby glos prawdy mógł zmartwychwstać i nie zginąć. Gdzieś w kraju przemawia ktoś bezimienny, zakonspirowany, a słowa jego docierają do setek tysięcy ludzi. Docierają do malej chaty niemieckiej wsi. I co za słowa! Sądzę, oskarżają, a teraz znów dodają otuchy i pewności. Co za słowa! Jakże bogate w treść wydają się one w tej atmosferze, przepięknie kłamstwem, zdradą i śmiercią”.

Opowiadania Petersena nasuwają nieodpartą refleksję, że bezimienni bohaterowie nie gineli na marne, że przelana przez nich krew przyczyniła się do powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Henryk Wandowski

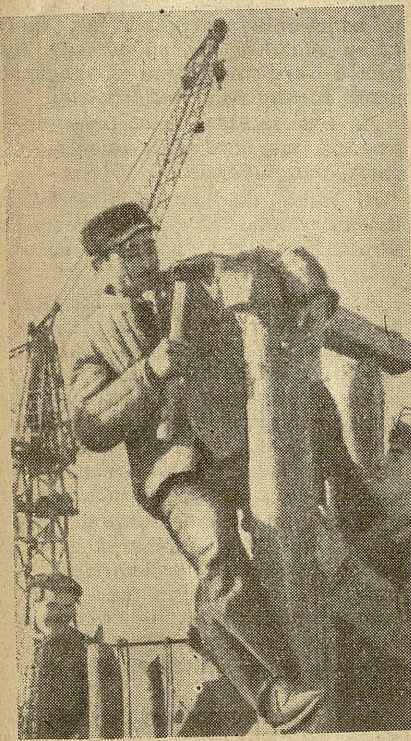


Foto WAF

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Siła patriotyzmu radzieckiego

ZRÓDŁEM zarówno bohaterstwa pracy ludzi radzieckich, jak i nieśmiertelnego bohatera w walce naszych żołnierzy na froncie jest gorący i twórczy patriotyzm radziecki. Siła patriotyzmu radzieckiego polega na tym, że podstawa jego są nie przesady rasowe czy nacjonalistyczne, lecz gorące oddanie i wierność narodu swej Ojczyźnie Radzieckiej, braterska przyjaźń ludzi pracy wszystkich narodów naszego kraju.

(Z referatu J. Stalina, ogłoszonego na uroczystym posiedzeniu Moskiewskiej Rady Delegatów Ludu Pracującego w dniu 6 listopada 1944 roku z okazji 27. rocznicy Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej).

Wśród miast - bohaterów, których obrona podczas wojny z najazdem hitlerowskim stała się historycznym świadectwem wielkości siły patriotyzmu ludzi radzieckich, Leningrad, tuż obok Stalingradu, zajmuje jedno z miejsc przodujących. Dwa miasta, noszące imiona Wielkich Wodzów Rewolucji Październikowej, heroizm swych umundurowanych i cywilnych obrońców kładąc nieprzebyte tamy pochodowi hitleryzmu, uniemożliwiły się w dziejach zmagania z faszyzmem jako wzory bezprzykładnego męstwa i wytrwałości.

900-dniowe oblężenie i blokada Leningradu, jeden z najbardziej dramatycznych fragmentów drugiej wojny światowej, znalazła, podobnie jak epopeja stalingradzka, swą literacką dokumentację w utworach pisarzy, którzy przeżyli ten ciężki okres w północnej stolicy radzieckiej i wytrwali aż do dnia zwycięstwa. Od utworów z tego zakresu tematycznego, znanych już z przekładów czytelnikom polskim („Opowiadania leningradzkie” M. Tichonowa, „Pieśń o życiu” Ogi Matuszkiej, „Oblężone miasto” Wiery Inber), należy również zaliczyć wydaną ostatnio powieść Heleny Katerli pt. „Rodzina Stożarowych”.

Jest luty roku 1942. Od szeregu miesięcy trwa już blokada Leningradu przez armie Hitlera, a jedyną — wąską i niebezpieczną — niają połączenia miasta z zapleczem jest stałe ostrzeliwana droga przez jezioro Ładoga. W oblężonym mieście nie ma elektryczności, gazu, wody, tramwajów. Ewakuacja objawia niekiedy instytucje, zakłady przemysłowe i część ludności; pozostali mieszkańcy cierpią srogi głód i wszelkiego rodzaju niedostatek; giną setkami od pocisków i bomb lotniczych, z chorób, zimna, wycieńczenia.

W takiej sytuacji ogólnej, jedna z fabryk leningradzkich otrzymuje od władz centralnych zarządzenie podjęcia remontu uszkodzonych na przedpolach miasta czołgów. Dyrekcja fabryki, zdając sobie sprawę z konieczności tej pracy, zarządzanie przyjmuje i bierze odpowiedzialność za jego wykonanie, choć wie doskonale, że będzie to przedsięwzięcie wprost nadludzkie trudne w danych warunkach obiektywnych.

Fabryka bowiem jest na wpół zrujnowana wskutek bombardowań; nie ma w niej światła, siły pędnej, ogrzewania; instalacje i maszyny zostały częściowo wywiezione na Ural, zaś to, co z nich pozostało, jest w dużej mierze uszkodzone i nie nadaje się do natychmiastowego użytku. Na tym nie ogranicza się jednak suma przeszkód, piętrzących się przed dyrektorem Stożarowem i kierownikiem fabryki. Przeszkodą najtrudniejszą do przezwyciężenia jest stan załogi fabrycznej: zdziśniętą w okoliczności wojny i blokady; robotnicy, którzy stawili się do pracy na wezwanie dyrektora, są to przeważnie ludzie wycieńczeni do ostateczności, chorzy, słabi, starający się z głodu, niedoładu, zdawali się, do żadnego wysiłku.

Prywacie i dolegliwości fizyczne nie mogły nie wywrzeć niszczycielskiego wpływu na stan moralny i mniej odpornych jednostek. Zatałmuje się psychicznie nie tylko przedstawiciele inteligencji fabrycznej — inż. Ostoumow, ongiś dzielny pracownik i racjonalizator, oznaki takiego załamania występują nawet w szeregach robotniczej młodzieży, jak dowodzi tego przykład pewnej komсомолки.

Lecz mimo to wszystko — nieprawdopodobnie staje się możliwym: fabryka — w miarę najniezbędniejszych potrzeb — zostaje uruchomiona, warsztaty zaczynają pracować, przybyły z frontu uszkodzone czołgi są naprawiane i odesyłane w terminie. Istnieją bowiem siły, zdolne sprawić to, co bez przesady można by nazwać cudem: cudem zmartwychwstańca zniszczonej fabryki, cudem przywrócenia zdolności pracy zespołowi robotniczemu, który dobywa z siebie wszystkie zasoby energii, ofiarności i wytrwałości.

Niechym niezwykły patriotyzm ludzi radzieckich — to najpotężniejsza z tych sił, o których zbawczy działaniu donosi powieść Katerli.

*) Helena Katerli, „Rodzina Stożarowych”. Powieść. Tytuł oryginalny: „Stożarowy”. Przekład autorzowany Marii Grzeszczakowej i Natalii Stanińskiej. Warszawa, PIW, 1951.

Partia bolszewicka, najdoskonalsza wyrazicielka i strażniczka tego patriotyzmu. Partia inspirująca i organizująca twórcze wysiłki małych i wielkich kolektywów, zarówno podczas wojny, jak w dobie pokoju — to również czynnik wagi decydującej, czynnik, gwarantujący celowość i skuteczność podjętych wysiłków, choćby miały być one okupione wieloma bolesnymi ofiarami, wyrzeczeniami i stratami. Organizator partyni — Pietrow i przywódca fabrycznego komсомолu — Filin z powieści Katerli — to piękne, niezapomniane postacie aktywistów, choćby miały być one okupione wieloma bolesnymi ofiarami, wyrzeczeniami i stratami. Organizator partyni — Pietrow i przywódca fabrycznego komсомолu — Filin z powieści Katerli — to piękne, niezapomniane postacie aktywistów, choćby miały być one okupione wieloma bolesnymi ofiarami, wyrzeczeniami i stratami.

„Mieszkamy w oblężonej twierdzy mówi portory. Pietrow — i ani jeden człowiek w tej twierdzy nie może żyć sam dla siebie. Trzymamy się za ręce i wyrucamy, ponieważ wspieramy się wzajemnie i wierzymy w naszą sprawę. Wytrwamy, bo nasze zmagania to jedyna możliwa droga w walce o życie...”

Trzecią wreszcie siłą, która kolektyw fabryczny podtrzymuje i ożywia wiarą w ostateczne zwycięstwo, jest uczucie organicznej, niezachwianej jego łączności z całym walczącym narodem radzieckim, wspólnoty pomiędzy tymi co trwają na liniach frontowych, i tymi, którzy w oblężonym mieście, czy też na dalekich tyłach, nie opuszczając bezczynnie rąk, nie bacząc na żadne trudności, — acją dla wspólnego zwycięstwa.

W języku ludzi radzieckich to, co ma znaną niewątpliwą bohaterstwa, nosi często bez porównania skromniejszą nazwę: spełnienie obowiązku. Tak właśnie było w fabryce, remontującej czołgi, dla frontu. Wśród jej załogi wielu jest takich, których możnaby żywym przeniesić ze stron powieści na niezmiśnialne karty heroicznego eposu.

Oto co czuje i myśli konwojent uszkodzonych czołgów — lejtnant Stożarow, przypatrując się nadludzkim wysiłkom fabrycznego kolektywu: „Może po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny lejtnant Stożarow, stojąc w ziejającej chłodni hali leningradzkiej fabryki, uświadomił sobie, że to nie jest zwykłe zwycięstwo, że ludzie, którzy mogą pokonać to, co zostało tutaj pokonane, przezwyciężają wszystko. Nikt nie zdola zwyciężyć tego kraju, w którym każdy obywatel, świadom swej wspólnoty z całym narodem, jest nieodłączną jego częścią; wielkie cele ożywiają się w sercu jego własnymi celami...” Historia w pełni potwierdziła słuszność tych myśli i wniosków młodego Stożarowa.

Unikając schematyzmu i taniego patosu, autorka powieści umiejętnie zindywidualizowała postacie jej głównych bohaterów, którzy — niemal bez wyjątku — mają własny, bardzo ludzki, zarys osobny. Szkoła jednak, że kontrastowo negatywna w swym wewnętrznym załamaniu postać inż. Ostoumowa, jak gdyby została dopisana do końca. Wprawdzie w zakończeniu powieści znajdujemy słowa, sugerujące, że Ostoumow przemógł samego siebie i wrócił do czynnego życia w szeregach kolektywu, — autorka nie pokazała jednak, jak i dlaczego dokonała się ta przemiana. W analogicznym wypadku komсомолки Swierżkowej proces tego wewnętrznego uzdrowienia przedstawiony został znacznie wyraźniej i dokładniej.

Akcja „Rodziny Stożarowych” rozgrywa się w ciągu kilku dni. To ograniczenie w czasie narzuca autorce obowiązki zachowania reguł prostoty i zwięzłości w kompozycyjnym kształtowaniu całości. Dążenie do utrzymania się w ramach zamierzonych konstrukcji, mało — wśród wielu skutków pozytywnych — również pewien efekt ujemny: rola przypadku jest tu niekiedy zbyt wielka, a jego pomoc w zadziwiającu i rozwiązywaniu węzłów sytuacyjnych — zbyt widoczna.

Podkreślić należy wysokie zalety stylu pisarskiego Katerli, jego niezwykłą plastyczność i sugestywność. Dzięki tym zaletom, opisy w „Rodzinie Stożarowych” stają się częścią obrazami, pełnymi dramatycznej i przekonującej wymowy w swych niemal wizualnych barwach i konturach. Do takich obrazów szczególnie urzekających precyzją i wyrazistością rysunku, zaliczyć można: nocną wędrówkę bibliotekarki fabrycznej po zamarzniętych i mroźnych ulicach oblężonego Leningradu, przejazd młodego Stożarowa z linii frontowej do miasta, zebranie komсомолu nad trumną towarzysza, — nie mówiąc już o wielu innych epizodach, których treść nie mniej przejmie i wzrusza.

Powieść Heleny Katerli, choć powściągliwa, nie raz nawet surowa w tłumaczeniu uczuć, doznała i cierpień człowieka, przeniknięta jest przecież najgłębszą miłością radzieckiej ojczyzny i jej nieugiętych obrońców. Słyszmy niemal, jak serce autorki uderza zgodnym rytmem z tysiącem serc bohaterów tego zespołu fabryki, jak zbiera dumą i radością z powodu zwycięstwa tego zespołu nad siłami śmierci, zniszczenia i rozpacz. Prawdziwie



tych uczuć dała autorka wyraz artystycznie szczerzy i trafny co stanowi niewątpliwie jej najcenniejsze osiągnięcie pisarskie.

Polski przekład „Rodziny Stożarowych”, na ogół poprawny i gładki, budzi jednak gdzieś tam pewne wątpliwości. Tak np. nie wiem dlaczego tłumaczki uparcie karmią żołnierzy radzieckich jakimś „szpikiem” (?), co — jak wynika już choćby z kontekstu — oznacza po prostu słoninę. Przyczynam ten casus dlatego, że wyraz „szpik” powtórzony został niewątpliwie w błędnym zastosowaniu — aż kilkakrotnie razy.

Bolesław Dudziński

ANDRZEJ SKIBA

Podpalacze „domów sąsiada”

JESZCZE w pierwszej połowie XIX wieku rządy Stanów Zjednoczonych przywłaszczają sobie „prawo i obowiązek” interwencji w wypadkach, gdy „dom sąsiada płonie”. („the neighbor's burning house” principle). Zasada ta od początku okazała się nieumiejętną, ponieważ, ponieważ o tym, kto jest sąsiadem i czy dom jego płonie orzekali czynnik rządzący, Waszyngton. Metoda została znacznie ulepszona na przełomie wieku, kiedy dla ułatwienia sobie akcji ratowniczej milicja przybrała samą podkładką ognia w sąsiadów, gorliwie następnie ratowanych.

Celował w tym ratownictwie prezydent Teodor Roosevelt, gorliwy poza tym wyznawca stosowania „żelaznego drąga, zwanego przezeń „Wielką Pałką” — Big Stick. Klasyfikowanym przykładem były losy małej republiki murzyńskiej — Haiti. Po sprowokowaniu w Haiti rewolucji Roosevelt kazał wypowiedzieć do celu „zabezpieczenia” cały zapas złota banku państwowego. USA płaciły od tego „depozytu” bardzo niskie odsetki, ale to samo złoto „pożyczyły” rządowi Haiti na wysoki procent. W kilkanaście lat później inny „dobroczyńca” ludzkości, Wilson, wysłał do Haiti piechotę marynarki USA, która zmasakrowała ludność stolicy Port-au-Prince po czym, pod groźbą karabinów, zmuszona parlament do ratyfikowania zupełnie ruinującego „traktatu przyjaźni” ze Stanami Zjedn. Od tego czasu grabienie małej republiki nie ustaje.

Innym osiągnięciem Teodora Roosevelta był Kanat Panamski. Obszar dzisiejszej Panamy należał do Kolumbii, która jednak nie godziła się na niekorzystne warunki USA. Roosevelt wobec tego kazał zorganizować na potrzebny mu terytorium „rewolucję”, ogłosił „samodzielną” republikę Panamę i na jej czele postawił w charakterze prezydenta swoją marionetkę, Manuela Guerrerona. Nie potrzeba dodawać, że Stany otrzymały wszelkie koncesje, jakie chciały. Z prywatnej korespondencji Teodora Roosevelta wynika, że w tym samym mniej więcej czasie skłaniał on rząd japoński do rozpetania wojny z Rosją i do podboju Korei w przekonaniu, iż kasztany wydobytą z ognia dostaną się Stanom Zjednoczonym.

Dziś w Niemczech Zachodnich i Japonii, we Francji, Boliwii, na Filipinach i w Grecji Stany Zjednoczone sprawują niemal wszechwładne rządy. Dyktują skład gabinetów, politykę społeczną i gospodarczą, walutową i handlową. Przeważnie nie trują się organizowaniem, podpalen w domu sąsiada, lecz „ratują” go nie oglądając się na preteksty i protesty. Pojęcie „sąsiada” uległo przy tym znacznemu rozszerzeniu: bazy wojskowe USA rozsiane są po całym świecie, kłopotliwie zaś ma nieszczęście sąsiadować z jedną z tych baz, uważany jest za „sąsiada” Stanów. Dla uplastycznienia metod stosowanych przez USA w rzadzeniu sąsiadami przytoczymy zdanie zaczerpnięte z organu wielkiej finansjery „U. S. News” (czerwiec 1951): „Dostawcy cyny dla USA z Boliwii są dość zabezpieczone — o tyle, o ile może je zagwarantować armia boliwijska, która, rządząc obecnie tym krajem, zabroniła strażników i wprowadziła stan wojenny”.

MARCELI RANICKI

DIALOG O FALLADZIE

A CZYTAŁEM ostatnio powieść Fallady „Każdy umiera w samotności”. Jestem rad, że przeczytałem ją dopiero teraz, czyli półtora roku po ukazaniu się polskiego wydania. Gdybym bowiem nie znał wydanych u nas w ostatnim roku książek innych antyfaszystowskich pisarzy niemieckich, miałbym — na podstawie powieści Fallady — zupełnie mylne wyobrażenie o antyhitlerowskim ruchu oporu w Niemczech w czasie wojny. Jest to przecież pseudorealistyczna powieść, zbudowana na błędnych założeniach ideologicznych, powieść ujawniająca fałszywy, typowo dekadentcki stosunek autora do zagadnienia niemieckiego w ogóle i niemieckiego ruchu oporu w szczególności.

B: Nie mogę się z Tobą zgodzić, choć przyznaję, że książka ta wzbudza poważne zastrzeżenia. Mino licznych błędów jest to jednak dzieło przepojone głębokim humanizmem...

A: Nieprawda... skrajnym pesymizmem...

B: Nie kłómy się, spróbujmy znaleźć wspólną płaszczyznę. O co ci właściwie idzie?

A: Przypomnij sobie fabułę powieści, która, już dobitnie świadczy o postawie autora. Majster Otto Quangel, stary mało uświadomiony robotnik, który nigdy nie miał nic wspólnego ze sprawami politycznymi...

B: Nie miał, ale jest zdecydowanym przeciwnikiem hitleryzmu i od lat odwołuje i konsekwentnie odmawia wstąpienia do NSDAP.

A: Dopiero po śmierci syna, który padł na froncie, postanawia aktywnie walczyć z faszyzmem. Piszcz prosta — akcję Quangel z góry na całkowite niepowodzenie. A przecież historyczna rzeczywistość walki antyfaszystowskiej w Niemczech wyglądała zupełnie inaczej.

B: Częściowo masz rację, ale tylko częściowo. Organizatorami walki podziemnej w Niemczech hitlerowskich, jej trzonem ideowym i motorem działania — była Komunistyczna Partia Niemiec, to jest bezsporne. Walczyli mniejsze czy większe grupy zorganizowane przez siebie przez starych działaczy KPD. To była główna forma walki niemieckich antyfaszystów, ale ucale nie jedyna. Gdy przeczytasz wyłania się ostatnio także w polskim przekładzie listy niemieckich antyfaszystów, dojdiesz do wniosku, że — zwłaszcza w późniejszym okresie panowania hitleryzmu — mieliśmy w Niemczech także bardzo wiele wypadków indywidualnego oporu, a więc walki poszczególnych jednostek niezwiązanych z żadną organizacją czy grupą oporu. Byli to przeważnie ludzie, których negatywna, ale początkowo tylko bierna postawa wobec faszyzmu przeradzała się później — bądź to pod wpływem wzrastającego barbarzyństwa hitleryzmu, bądź też osobistej tragedii — w aktywną walkę. Oczywiście, że rozpaczyli wysiłki tych samotnych jednostek, ułaska odcobniona i oderwana od głównego nurtu oporu antyfaszystowskiego w Niemczech, była jeszcze bardziej skazana na niepowodzenie. Ale — niezależnie od jej osiągnięć praktycznych — była to walka bohatera — i w subtelnych warunkach Trzeciej Rzeszy godna najwyższego podziwu, walka dająca szczególny wgląd w głęboką tragedię uczciwych Niemców w państwie Hitlera.

Takim właśnie bohaterem jest Otto Quangel, któremu zdrowy instynkt klasowy nakazuje od zarania hitleryzmu negatywny stosunek do bratnych władców. Tragedia jego polega na tym, że, przechodząc w latach wojny do czynnego oporu, ludzi się on, że walka indywidualna, oderwana i zawieszona w próżni — może być skuteczna.

A: W każdym bądź razie Quangel jest postacią nietypową i przynajmniej, że ta dokonana przez Falladę idealizacja samotnego bojownika, człowieka walczącego „na marginesie” ruchu oporu, jest w samym swym założeniu ideologicznie błędna...

B: Powiedziałbym inaczej: świadczy o niezrozumieniu przez autora podłoża społecznego odwołanego przez okres, niemniej...

A: Zgoda, ale sformułujmy dokładniej: Fallada, wychodząc z pozytywnej mieszczkańskiej, nie dostrzegając, że istota antyfaszystowskiego ruchu oporu był jego charakter klasowy, czyli że nielegalna działalność niemieckich antyfaszystów była tylko jednym z etapów walki klasowej w Niemczech. W tym chyba należy się doszukiwać przyczyn, iż bodaj, że wszystkie występujące w powieści postacie noszą piętno sztucznej, intelektualnej konstrukcji psychologicznej, niekiedy zresztą, świadcząc o dużym talencie autora.

B: Ze słusznego założenia wyciągasz zbyt skrajny wniosek. Zdaniem moim, Fallada miał wielki dar tworzenia ludzi żywych, prawdziwych, zaopatrzonego w bogaty rejestr rysów indywidualnych. Przecież już w pierwszych rozdziałach

na, w jego działalność — to jego żona, kobieta poczuła, ale ograniczona. Wysilki Quangla...

B: „Uporczywie i z wielkim poświęceniem kontynuowane przez kilkanaście miesięcy...”

A: „...nie dają jednak żadnego wyniku. Prawie wszystkie ulotki zostają przez znalazców natychmiast oddane gestapo, które wreszcie aresztuje Quangla i skazuje go oczywiście na śmierć. Quangel ginie...”

B: Dodajmy jednak, że w więzieniu Quangel zachowuje mimo wszelkich wymyślnych tortur niezłomną, bohaterską postawę, że ginie w przekonaniu, iż walczył o słuszną sprawę, która zwycięży.

A: Zgoda. Ale zastanówmy się teraz nad koncepcją tej postaci. Quangel jest skrytym dziwakiem, który żyje w całkowitej samotności. Osobista tragedia czyli utrata syna staje się bezpośrednią przyczyną jego przejścia do aktywnej walki z hitleryzmem. Do walki tej przystępuje sam, mimo, że wśród kilkuset — znanych mu zresztą od lat — pracowników, zatrudnionych wraz z nim w fabryce mebli, są niewątpliwie robotnicy zdecydowani tak samo jak on na nielegalną walkę z przemocą faszyzmu, mimo, że wie on — chociażby z afiszów obwieszczeń wyroków śmierci, o działalności grup antyfaszystowskich, mimo iż wie, że Truda, narzeczona jego syna, jest członkiem nielegalnej komórki. Izolacja Quangel nie jest więc wynikiem konieczności, a dziełem jego własnej uporczywej woli, dziełem, z którego jest dumny, nosząc swoją samotność jak sztandar. To oderwanie skazuje — rzecz prosta — akcję Quangel z góry na całkowite niepowodzenie. A przecież historyczna rzeczywistość walki antyfaszystowskiej w Niemczech wyglądała zupełnie inaczej.

Nosicielami bohaterskiego ruchu oporu nie były oderwane od lułu jednostki, jak fanatyczny samotny Quangel, nosicielem arcytrudnej walki z nierównym przeciwnikiem była przede wszystkim partia, której najlepsi członkowie organizowali w całym kraju grupy oporu. Toteż bohater Fallady wydaje mi się postacią nie uziętą z życia, a sztuczną skonstruowaną przez autora, postacią nieprawdziwą.

B: Częściowo masz rację, ale tylko częściowo. Organizatorami walki podziemnej w Niemczech hitlerowskich, jej trzonem ideowym i motorem działania — była Komunistyczna Partia Niemiec, to jest bezsporne. Walczyli mniejsze czy większe grupy zorganizowane przez siebie przez starych działaczy KPD. To była główna forma walki niemieckich antyfaszystów, ale ucale nie jedyna. Gdy przeczytasz wyłania się ostatnio także w polskim przekładzie listy niemieckich antyfaszystów, dojdiesz do wniosku, że — zwłaszcza w późniejszym okresie panowania hitleryzmu — mieliśmy w Niemczech także bardzo wiele wypadków indywidualnego oporu, a więc walki poszczególnych jednostek niezwiązanych z żadną organizacją czy grupą oporu. Byli to przeważnie ludzie, których negatywna, ale początkowo tylko bierna postawa wobec faszyzmu przeradzała się później — bądź to pod wpływem wzrastającego barbarzyństwa hitleryzmu, bądź też osobistej tragedii — w aktywną walkę. Oczywiście, że rozpaczyli wysiłki tych samotnych jednostek, ułaska odcobniona i oderwana od głównego nurtu oporu antyfaszystowskiego w Niemczech, była jeszcze bardziej skazana na niepowodzenie. Ale — niezależnie od jej osiągnięć praktycznych — była to walka bohatera — i w subtelnych warunkach Trzeciej Rzeszy godna najwyższego podziwu, walka dająca szczególny wgląd w głęboką tragedię uczciwych Niemców w państwie Hitlera.

Takim właśnie bohaterem jest Otto Quangel, któremu zdrowy instynkt klasowy nakazuje od zarania hitleryzmu negatywny stosunek do bratnych władców. Tragedia jego polega na tym, że, przechodząc w latach wojny do czynnego oporu, ludzi się on, że walka indywidualna, oderwana i zawieszona w próżni — może być skuteczna.

A: W każdym bądź razie Quangel jest postacią nietypową i przynajmniej, że ta dokonana przez Falladę idealizacja samotnego bojownika, człowieka walczącego „na marginesie” ruchu oporu, jest w samym swym założeniu ideologicznie błędna...

B: Powiedziałbym inaczej: świadczy o niezrozumieniu przez autora podłoża społecznego odwołanego przez okres, niemniej...

A: Zgoda, ale sformułujmy dokładniej: Fallada, wychodząc z pozytywnej mieszczkańskiej, nie dostrzegając, że istota antyfaszystowskiego ruchu oporu był jego charakter klasowy, czyli że nielegalna działalność niemieckich antyfaszystów była tylko jednym z etapów walki klasowej w Niemczech. W tym chyba należy się doszukiwać przyczyn, iż bodaj, że wszystkie występujące w powieści postacie noszą piętno sztucznej, intelektualnej konstrukcji psychologicznej, niekiedy zresztą, świadcząc o dużym talencie autora.

B: Ze słusznego założenia wyciągasz zbyt skrajny wniosek. Zdaniem moim, Fallada miał wielki dar tworzenia ludzi żywych, prawdziwych, zaopatrzonego w bogaty rejestr rysów indywidualnych. Przecież już w pierwszych rozdziałach

powieści Fallada wprowadza kilkanaście postaci, a każda z nich jest — przy minimalnym komentarzu autora — plastycznie wydobytą, każda z nich żyje. Świadczy to nie tylko o nieprzeciętnym talencie Fallady, ale przede wszystkim o tym, że są to postacie zaczerpnięte z życia...

A: „...ale postacie nietypowe, zaczerpnięte z życia, ale z jego peryferii...”

B: Zdaje mi się jednak, że nie w tym tkwi zło, a raczej w funkcjach, jakie tym postaciom każe w swojej powieści pełnić autor. W tym ujawniając się granice talentu Fallady, granice jego światopoglądowego horyzontu.

A: Wybacz, ale nie rozumiem.

B: Weźmy dla przykładu postać muzyka Reichardta, którego Quangel poznał w więzieniu. Jest to przecież sylwetka doskonale narysowana, ale — i tu tkwi zasadniczy błąd ideologiczny — temu szlachetnemu inteligentowi, którego antyfaszystowska działalność była w podobny sposób zawieszona w próżni, jak działalność Quangel, jemu właśnie przypisuje Fallada rolę człowieka, który uświadamia starego robotnika Quangla o konieczności życia w społeczeństwie, a nie poza społeczeństwem. Albo oryginalny dziwak, emerytowany radca sądowy Fromm: nie koncepcja tej ciekawej postaci jest zła, ale to, że właśnie ten samotny, żyjący także w oderwaniu starszek, jest tym, który zdobywa się na odwagę, by pomóc aresztowanemu Quangelowi przez dostarczenie mu truciizny.

A: Potwierdzasz właściwie moją tezę, że wszystkie postacie są nietypowe, marginalne...

B: Wcale nie wszystkie. Przecież listonosz Ewa Kluge jest postacią zdrową, mocną, w koncepcji doskonałą, postacią typową...

A: I właśnie konfliktu Ewy Kluge, która występuje z NSDAP, Fallada nie umie rozwiązać. Każde jej uciekanie z Berlina na wieś. Jest to jakby „emigracja wewnętrzna”, w której twarzą i okrutną rzeczywistością życia w państwie Hitlera autor zastępuje nagle nieprawdopodobną i stokawą sielankę wiejską...

B: „...czym właśnie autor udowodnia, że konfliktu dobrze skonstruowanej postaci z proletariatem nie umie — natrafiając na granice swoich możliwości — rozwiązać. Znajdując więc wyjście w nieprawdziwym, typowo inteligentckim eskapizmie...”

A: Dochodzimy zatem do wniosku, że Fallada nie widzi klasowego podłoża użalania, klasowego uwarunkowania stworzonych przez siebie — częstokroć opartych na słusznych i przekonujących założeniach — postaci. Będziesz mi musiał jednak przyznać, że w niektórych wypadkach — mam na myśli demoralizowanego do reszty szpiczasta gestapo Borkhausena i plugawego złodziejaszka Enno Klugego — stworzył Fallada postacie z proletariatu niemieckiego, oparte na tak błędnych podstawowych koncepcjach, iż są to twory — mimo najbardziej wymyślnego i precyzyjnego rysunku psychologicznego — nie mające już nic wspólnego z życiem, twory w najlepszym wypadku patologiczne. Nie są to więc postacie realistyczne, a raczej pseudorealistyczne.

B: Tak, ale dotyczy to tych dwóch postaci i może jeszcze jeden czy dwóch w stosunku do galerii kilku, dziesięciu ludzi, jakich ukazuje nam Fallada w swej książce i nie usprawiedliwia tego uprzedniego twierdzenia, że mamy tu do czynienia z „pseudorealistyczną” powieścią. Przecież książka Fallady daje nam — mimo wszystkich błędów i braków — wstrząsający obraz Niemiec hitlerowskich. Jest to oczywiście obraz niepełny, częstokroć jednostronny, niekiedy wręcz zniekształcony, ale głęboko elementarny tego obrazu, to głęboka nienawiść do ustroju faszyzmu, to silna wiara w moralnie czyste życie, w majstrów Quangel, który życie swoje poświęca walce z hitleryzmem i który jako oskarżony potrafi faszyzmu skłonić do odwagi rzucić mocne słowa prawdy. Toteż z kart tej książki przebiega głęboki humanizm.

A: Ale czytelnik jest przede wszystkim pod wrażeniem beznadziejnego pesymizmu. Przecież nie przypadkowo powieściowej nudał Fallada tytuł „Każdy umiera w samotności”. Jest to tytuł o tyle świetny, o ile rzeczywistość w pełni odpowiada treści utworu. W samoty umierają pozytywni i negatywni bohaterowie tej książki: majster Quangel, Quangelowa, Truda Hergesell, Enno Kluge, gestapowiec Esterich...

B: I w samotności umarł w 1947 roku Hans Fallada, wielce utalentowany pisarz niedawnej przeszłości, którego życie pełne waśni i kompromisów, którego twórczość pełna postawowych błędów i zasadniczych omyłek — jest jeszcze jednym i jakże interesującym przykładem dla poznania ogromnej i przecież po dzień dzisiejszy nie skończonej, wciąż jeszcze aktualnej tragedii narodu niemieckiego.

A: Powiadasz: „wielce utalentowany pisarz”. Zgoda, ale pozwól, że dodam do tego, co powiedział kiedyś Johannes Becher o Falladzie: „Er war kein Denker” — nie był on myślicielem, a to znaczy po naszymu: nie był on marksista.

Marceli Ranicki

WOJCIECH KODRYN

„WĄTEK MIŁOSNY” W NOWYM ŻYCIU

MOJ przyjaciel, dziennikarz, wpadł na ciekawy pomysł. Na zjeździe korespondentów pism ZSL-u przegadał prawie z połową delegatów jedną sprawę: „Macie koleżankę (macie kolegę) jaki list przy sobie od znajomych albo krewnych? Jeśli macie, to wypożyczcie. Zbieram materiały z życia prywatnego i rodzinnego”. Dostał około 20 listów a blisko 60 obiecano mu dostać. Przeglądałem te listy. Wybrałem trzy. Zawierają one tak bardzo w naszych współczesnych powieściach pomijany wątek miłosny.

Listy te stanowią dokumenty nowych warunków, nowych bodźców i nowych konfliktów miłości na wsi. Muszę podkreślić, że są to listy „pierwsze z brzegu”, z przypadku, a także wymowne.

*

Oto 17-letnia dziewczyna zakochała się w 18-letnim chłopcu, który kształci się w Kaliszu. Z listu trudno dociec czy on także pochodzi ze wsi, czego się uczy i w jakich poznali się okolicznościach. Na te pytania niech odpowie fantazja pisarzy i domysły czytelników. Faktem natomiast jest, że dziewczyna na początku znajomości pytała, co robi — zęłata. Ma 6 klas szkoły powszechnej i pracuje u rodziców na gospodarstwie a powiedziała, że „chodzi do handlowki”. Chłopak dopyttywał się „czy ja też chodzę do jakiejś szkoły czy zawodówki”. Oto, jak stanął nowy wątek miłości i cien nowego konfliktu. Dziewczyna w mgnieniu oka zrozumiała jedno i drugie, dlatego skłamała. „Potem on przejechał odwiedzić mnie do nas do domu i wtedy mi się przyznał, że skończył tylko 6 klas i że przebywam u rodziców. Lecz on na to nie zważał i pisał mi do siebie wzajemnie listy”.

Myślicie, że wątek już wyczerpan? Raczej dopiero zaczęty. „On otrzymał ode mnie parę listów a ja zaledwie od niego dwa, przestał pisać. Teraz nie wiem o sobie”. Z jakich powodów przestał pisać chłopak, nie łatwo odpowiedzieć. Może rozczarowanie do dziewczyny, która ugrzęźła w gospodarstwie? Może błąd uczucia, które wraz z oddaleniem rozwijało się? Tak czy inaczej milczenie chłopca dobrze o nim nie świadczy. Bo, jak pisał dziewczyna, „zapomniałem się... i bardzo mnie pokochał”. A z dziewczyną co? Był, wyjechał, nie pisał... więc popłakać i zapomnieć a na przyszłość mierzyc niż i bliżej? Z dziewczyną stało się zgoda inaczej. Zawzięta się. „Od 11 stycznia 1952 r. będę się dalej kształcić, bo dopiero teraz przetrzymałam na uczni, że człowiek bez szkoły nie wart i nie ma żadnego uznania”. Dzieje swej miłości powierzyła krewnym, chłopce — działaczce, aby od niej otrzymać radę, czy teraz, kiedy powzięła decyzję uczyć się dalej, kiedy na naukę ma być przyjęta na jej w styczniu — „napisać jeszcze raz do niego, czy nie?” I w tym pytaniu jak mi się wydaje, nad dojrzałość nowego człowieka. Miłość stała się bodźcem do podniesienia się, do rozwoju, do osiągnięcia większej wartości i znaczenia. To „przejście na ucznia” jest szersze od samej miłości do chłopca z Kalisza. I nie wiadomo,

wiły on o wielkiej sile rewolucji i nowego życia na wsi. Dzieci kulackie wstępują klasowo w swoją rodzinę, wpyły na to wychowanie domowe i pozycja społeczna, jaką zajmują na wsi. Wpływa walka klasowa i izolacja kulaka. Ale dzieci kulackie dorastając widzą jasniej od ojców zmierzach starej gospodarki, widzą łatwiej uroki nowego życia. Dopóki tworzą z domem organiczną całość, dopóty trzeba raczej sztykować się na ich opór i walkę, jeszcze bardziej „oswieconą” i jeszcze bardziej „unowocześnioną” w porównaniu ze starymi. Ale kiedy syn kulacki zaczyna myśleć o opuszczeniu gospodarstwa i podjęcia pracy na PGR-ze? Kiedy ten zamiar rodzi nie kaprys rozwiniętej chłopskiej miłości do żony, biedniaczki?

Wtedy, jak widzicie, życie staje na przelomie. Nie ma tu podstępnych rozważań, nie ma tu rozstrzygnięcia się los. Po jednej stronie „oświecenie” na bogactwo, po drugiej — miłość, której cała treść i jakość należy już do nowego życia na wsi, do nowych czasów.

Chłopak pyta, czy tam, czy tu? Ale podkreśla „żonę moją bardzo kocham”. I pyta stryjka, który wiadomo, co odpowie, to co i wy: jeszcze się waha? Idź na PGR! Chłopak pragnie umocnienia w tej decyzji, a może i upewnienia, czy może wejść w nowy ustrój? Czy będzie przyjęty?

*

TRZECI LIST. — Dziewczyna ma lat dwadzieścia. Jest sierotą. Pracuje na PGR-ze. Ma za sobą może do 2—3 klasy, grzyzł mi bowiem straszliwie. O czymże ona pisze? Żyje od dwóch lat z trzydziestoletnim robotnikiem z tego samego PGR-u. Kocha go, a raczej, kochała go. „Od pewnego czasu zrobił się dla mnie bardzo niedobry, robi awantury, bije mnie. Chcę go rzucić, ale kocham go i nie wiem, co robić”.

Otóż kocha, czy kochała? Ma siostrę 13-letnią, która chodzi do 7-jej klasy i „ma bardzo dobre odgrydy do domu”. Widac wyraźnie, że siostra to już druga miłość. Rosnąca miłość. Dziecko wybitnie zdolne i pilne. Z

PIOTR CHMURA

KSIĄŻKA W STUDNI?

WYOBRAZIE sobie młodą nauczycielkę, która już od trzech pół lat pracuje w tej samej wsi. Wyobraźcie sobie, że na konkursy czytelnicze w ub. roku (organizowany przez ZSCh) zgłosiła z tej wsi 104 osoby, w tym 30 gospodarzy i starszych kobiet. Wyobraźcie sobie, ile tomów mogłaby zapisać, ile godzin opowiadać na ten tak pasjonujący krytyków i pisarzy temat: co dzieci, młodzież i starzy czytają na jej wsi? Co mówią o książkach? O co pytają, o czym dyskutują?

Wyobraźcie sobie wreszcie, że młoda nauczycielka o tym wszystkim do nas napisała. Ha, widzę już jak się obliżuje w oczekiwaniu wspólnie uczy duchowej.

Poczekajcie jednak chwileczkę, bez wstępu się nie obejdzie. Osoba nauczycielki Was nie ciekawi? „Któż jak nie nauczyciel, pójdzcie z książką do wiejskich chat...”. Oto słowa naszej nauczycielki. Zapamiętajcie je. I nie krzywcie się, że jeszcze przypominają Konopnicką. Makareńkę również spotkamy. Od kogoż bowiem mogła zaczynać nauczycielka, jak nie od młodzieży? Ale na bostoniu, podrostków nad książką nie posadzi, w polu tym bardziej, w szkole zbyt oficjalnie. Nasz Makareńko wypatrzył, jak poszkołone dzieci zagrzebię się w ogromnej, pustej kuchni podworskiej. W kuchni był wielki piec i ławy. Dzieci rozpalały ogień i słuchały „świerszcza za kominiem”. Zaproponowała: zagrajmy szutkę, kupimy węgla, będziemy mieć co wieczór kominek, poczytam wam ciekawe historie. Ogień na kominię wieczorem, to prawdziwa frajda. W jesienne i zimowe dni przesiadywała gromadka wokół pieca pod naftową lampą do 11 godzin w nocy. „Przenosił się myślami i wyobrażał na morze. Na morzu była burza, która przeżywał się wraz z Maryzją. Albo śledził się pilnie i z ogromnym współczuciem ich losy na dalekiej obczyźnie...”

Dla odmiany urządziła nauczycielka z dzieciarnią inscenizację fragmentów czytanych utworów. Jedną z nich była np. inscenizacja metod nauczania w dawnej szkole wiejskiej, według noweli Prusa „Antek”. Datą, jak widzicie, poemat — pedagogiczny. Tu się też kończy wstęp.

I gdybyśmy chcieli zostawić tylko dobre wspomnienie o naszej młodej nauczycielce, musiałby na tym wstępie poprzestać. Ale czytelnicy czekają na ciąg dalszy. Są pewni, że teraz będziecie się opowiadać młoda nauczycielka z pow. Brzesko.

Co mówią dzieci, młodzież i starzy o przeczytanych książkach? Jak się krzyżują i ścierają ich opinie? A tymczasem... Donoszę wprawdzie, jak organizator, o tym, że młodzież z Kola ZMP urządziła wieczór dobrego czytania. W tej akcji wyróżnił się Józef Gawlik, który zapożyczał z domu kolegami po kursie początkowego nauczania. A ci tak zasmakowali w książkach, że gotowi byli do dalekich wypraw, aby odnaleźć zasyłaną powieść albo już poznanego autora nieznaną im jeszcze twórcę. Otóż ci zaawansowani, a było ich 20—30 osób, prowadzili „zawzięte dyskusje”, co ledwie stwierdziwszy już — młoda nauczycielka — stawiasz kropkę.

W podobnej akcji czytelniczo-dyskusyjnej odznaczyła się przewodnicząca Kola Gospodyń, Zofia Bodera. Zbierała dziewczęta w swoim pokoiku

każdym rokiem rozwija się, mądrzej i delikatniej.

W tej miłości nasza 20-letnia pracownica PGR-u odnajduje nową miarę wartości i godności człowieka. Uczy się jak człowiek, rośnie jak i przez co nim się staje. Prostuję, jest bowiem i o tym wzmianka, to siostrzyczka nauczyła ją czytać i pisać. Nasza pracownica była analfabeta. A teraz porównajmy dynamikę dwu lat w dziejach jej ukochanego i jej siostrzyczki. Dzieje te skrzyżowały się i rozmięły. On awanturował się i bije. Siostrzyczka marzy o dalszej nauce. Dziewczyna pisze list do dawnej, starszej znajomej. Widzi w niej ta sierota naturalnego opiekuna, kogoś, kto utkwili we wspomnieniach z czasu dzieciństwa, kiedy jeszcze żyła matka.

„Jak go opuszczę, to chciałabym znaleźć inną pracę, bo w PGR-ze to mi nie odpowiada i za mało zarabiam, abym mogła dalej uczyć moją siostrę. Czy dobrze czynię, że w tych warunkach chcę się przenieść dla siostry, do miasta?”

Czy dobrze uczyni? Nie jest to jedynie rozwiązanie. Ale takie, jakie wymyśliła dziewczyna, podnosi ją jako kobietę.

Jej siostrzyczka stała się źródłem konfliktu miłosnego. Drugim, rozstrzygającym. Pierwszy, oczywiście, wywołano grubiaństwem ukochanego. Ale ten powód nie przesądziłby jeszcze sprawy. Złe byłoby ciężkie, wulgarnie, obśuwające się w treści i formie, ale trwałoby to wspólne życie. Dopiero siostrzyczka i perspektywa, jaką otworzył jej rozwój na to, kim może być człowiek — zastrzyżył konflikt i oderwał dziewczynę nie tylko od dawnej miłości, ale i od dawnego losu.

Martwa, bierność została strząśnięta. Dziewczyna weszła w okres życia i pracy dla siostrzyczki. I razem z dalszym rozwojem siostrzyczki podnosić się w niej będą godność i doświadczenia nowego człowieka, robotnika nowej Polski. Dojrzał w niej będzie bogatsze życie do nowej, lepiej ułożonej miłości.

Wojciech Kodryn

LUCJAN WALAS

O MARYSINEJ OBÓRCIE

Drukujemy autentyczny list inteligenta, pochodzenia chłopskiego, pracującego w Warszawie, na jednym z centralnych odcinków spółdzielczości. List skierowany był do siostry, mieszkającej na wsi. Listem tym chcemy zwrócić uwagę czytelników na ważną sprawę wzajemnych kontaktów rodzinnych pomiędzy tymi, co pracują na wsi a tymi, co odeszli do miast — do pracy produkcyjnej, na studia i w szeregi pracującej inteligencji. Zachęcamy czytelników do nadsyłania takich listów i do podjęcia dyskusji w sprawie wzajemnych kontaktów rodzinnych między tymi, co na wsi a tymi, co w mieście.

Redakcja.

Pisziesz Marysiu tak:

„Mamy oboje z mężem do Ciebie prośbę. Czybyś nam nie mógł wyrobić asygny na kilka metrów cementu? Jest nam bardzo potrzebny. Chcielibyśmy przystawić jedno mieszkanie, bo dzieci przybyło i podrosły starsze, a także jaką obórkę postawić, bo nie mamy gdzie chować więcej bydła i świń. A tu wydatki rosną i jak nie będziemy chować, to trudno będzie wystarczyć na okrywkę i potrzeby domowe. Tu, u nas, materiału na budowę trudno dostać, a kumoterstwa w przydziale nie ma. O ile możliwości, staraj się o to, a będziemy Ci bardzo wdzięczni.”

Droga Marysiu!

Oczywiście, asygny na cement Ci nie przysyśle, przekracza to moje możliwości. Ale gdyby nawet było to możliwe, nie skorzystałbyś z takiej drogi przyjsia Ci z pomocą i chęć Ci wyłudzić dającego.

Przed wojną za rządów kapitalistów i obszarników o los milionów chłopów bezrolnych i małoprolnych ktoś z nas i jak mógł dbać? Jeśli wyszkolony syn chłopski, a takich było mało, dobrze wysługiwał się interesom obszarników i fabrykantów, mógł doradzić pomóc swojej rodzinie. Ale jeśli tylko odważył się wskazywać na wyszły wszystkich pracujących chłopów i stawał w obronie

wielu pokrzywdzonych zawsze spotykała go kara przez usunięcie z pracy, a nawet więzienie. Nikt wtedy Marysiu z przedstawicieli władzy państwowej nie wnikał w położenie tysięcy chłopów, wędrujących na przednówku od dworu do dworu w poszukiwaniu zarobku i chleba. Mawiano wtedy: „Kto ma księdza w rodzinie, temu bieda nie dobiedzie”. A ktoż to byli ci, którzy mieli księdza w rodzinie? A no, bogacze wiejscy i handlarze, których stać było na kształcenie dzieci, jak mawiali wykształceni synowie chłopy na plebanich, na posadach inżynierów, urzędników, lekarzy, czasami przedsiębiorców, wówczas — np. podczas strajku chłopskiego w 1937 r. — dołączali do zorganizowanych i nie zorganizowanych „przyjaciół wsi” i bronili jej przed oszczerstwami. Nieprawda, to nie „duch Szell”, to nie „komuna”. Taka pomoc dla wsi była jeszcze jednym szkodnictwem.

Kiedy wyższy i nędza mas ludowych przekraczały już wszelkie „granicę przyzwoitości”.

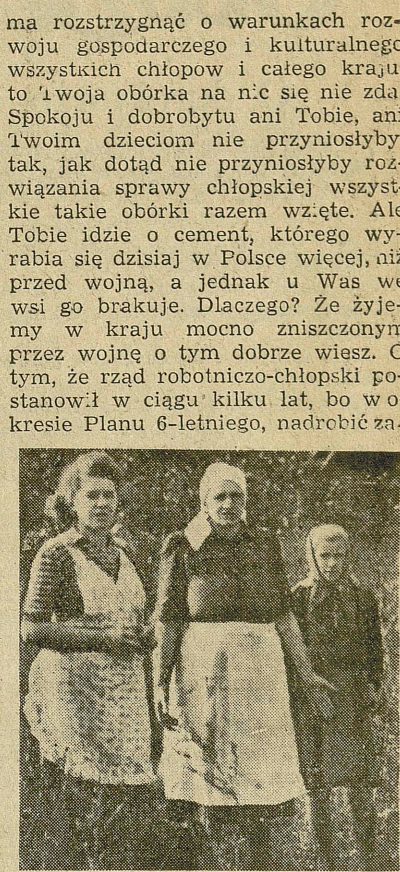
„Czy zapomniałaś Marysiu jak rokrocznie od 16 roku życia jeździłaś na roboty do Niemiec? W ojczyźnie dla Ciebie pracy nie było. Zarabiałaś wtedy nieco więcej niż w kraju, ale nie dlatego, żeby Ci tam więcej płacili, tylko dlatego, że zyskiwałaś na przerachowaniu marki niemieckiej na polskie złote. A ponadto harowałaś przy akordowej robotce od świtu do nocy i do dnia dzisiejszego nie masz zdrowia, które utraciłaś przy ciężkiej pracy dla obcych i wśród obcych ludzi.”

Dzisiaj władza ludowa żyje nie tylko troską jak pomóc Tobie Marysiu w zbudowaniu obórki, ale przede wszystkim, jak rozwiązać sprawę wszystkich pracujących chłopów, aby im było lepiej. Podzielimy Marysiu, taki stosunek władzy ludowej do sprawy chłopskiej.

Będzie się bardzo cieszył, jeśli zbudujesz sobie obórkę, ale wiedz o tym że jeśli w naszym kraju nie zostaną wykonane główne i najważniejsze zamierzenia Planu 6-letniego, który

Co słychać u nauczycieli?

ma rozstrzygnąć o warunkach rozwoju gospodarczego i kulturalnego wszystkich chłopów i całego kraju, to i twoja obórka na nic się nie zda. Spokoju i dobrobytu ani Tobie, ani i twoim dzieciom nie przyniosłyby, tak, jak dotąd nie przyniosłyby rozwiązania sprawy chłopskiej wszystkie takie obórki razem wzięte. Ale Tobie idzie o cement, którego wyrabia się dzisiaj w Polsce więcej, niż przed wojną, a jednak u Was we wsi go brakuje. Dlaczego? Że żyjemy w kraju mocno zniszczonym przez wojnę o tym dobrze wiesz. O tym, że rząd robotniczo-chłopski postanowił w ciągu kilku lat, bo w okresie Planu 6-letniego, nadrobić za-



Fot. WAF

niedbania i braki naszego kraju, ciągnące się od stuleci i dokonane potężnego dzieła uprzemysłowienia Polski — też wiesz. Buduje się Nowa Huta, o którą niedaleko mieszkaż i pewnie ją widziałeś. Buduje się zapory wodne i potężne elektrownie, które mają oświetlić ciemną dotąd i zacofaną Polskę i dostarczyć Wam we wsi nieznanej dotąd energii elektrycznej, która zasępowała będzie pracę człowieka i stworzy warunki lepszego życia. Powstają Marysiu wielkie fabryki, huty, kopalnie, fabryki traktorów i samochodów, budują się wielkie mola portowe, dźwigi i doki okrętowe, nowe linie kolejowe, drogi i mosty.

Jak myślisz, czy na to wszystko potrzebny jest cement i ile tego cementu?... Jakim potrzebom w takich warunkach dać pierwszeństwo? Pewne ilości cementu otrzymuje do dyspozycji Powiatowa Rada Narodowa, która musi się dobrze zastanowić, na jakie cele go przeznaczyć. Przecież w Waszym powiecie jest немало gospodarstw powstałych w wyniku reformy rolnej, które są pozbawione zabudowań, a nie tylko obórki. Gdyby Ci przyszło w tych sprawach decydować, na pewno dałabyś cement przede wszystkim na potrzeby wyższego rzędu, na te potrzeby, które teraz decydują o rozwoju całego kraju i których wykonanie wpłynie także na rozwój rolnictwa, a więc i na twoją małą gospodarke. Dlatego z Warszawy przekazów na cement nie dostaniesz, a do powiatowej puli materiałów budowlanych dobijają się przy pomocy miejscowych organizacji politycznych i społecznych.

Mimo tych wielkich zadań, a więc i przejściowych trudności, jak to sama możesz osądzić, Rząd Ludowy troszczy się o Twoją obórkę. Bo o to w ostatnich dniach grudnia ubiegłego roku Prezydent Rządu Ludowego podjął uchwałę, biorąc pod uwagę Twoje kłopoty z obórką. W uchwale tej powiedziane jest między innymi tak:

„Część materiałów budowlanych (cegła, dachówka, papa i t. p.) zostanie wydzielona na zaspokojenie najkonieczniejszych potrzeb wsi. Przewiduje się również zwiększenie produkcji materiałów budowlanych z surowca lokalnego. Nad rozdzieleniem masy towarowej dla wsi i miasta, dokonywanym na szczeblu województwa i powiatu czuwać będą rady narodowe.

Uchwała ta otwiera Ci drogę do uzyskania niezbędnych materiałów na budowę. A jeśliby potrzebujących było tak wielu, że dla Ciebie nie wystarczy, to masz dostać bez obórki? Wcale nie. Mieszkaż nad Wisłą na terenie obfitującym w glinę.

Macie więc Ty i Twoi sąsiedzi surowiec lokalny. Marysiu! Ty o mnie pamiętasz, wtedy, kiedy potrzebujesz kwiłtów na cement. A tu w Warszawie moi koledzy myślą, że moja siostra, dlatego, że ma siostrę, powinna tam na wsi przoduje w postępie. A mogłabyś. Przecież możecie przeprowadzić wspólną robotę: wymieścić glinę ze słomą i przy pomocy drewnianych skrzynek ubić ściany, które jak dobrze wyschną, będą niemiernie trwałe od cegły czy pustaków, z tą różnicą, że budynek będzie znacznie tańszy. Popelnienie błąd trzymając się kurczowo tradycyjnego sposobu budownictwa, wyłączenie z drewa, cegły i cementu. Wtedy, gdy w kraju prowadzi się wielkie inwestycje przemysłowe, obliczone na podwignięcie całej gospodarki narodowej na wyższy szczebel rozwoju, macie pretensje, że tych właśnie najbardziej potrzebnych na ogółne cele socjalistycznego budownictwa materiałów nie dają wam tyle, ile byście sobie życzyli, a Polsce Ludowej i sobie samym nie umiecie pomóc przez lokalną inicjatywę i wykorzystanie różnic, jakie wynikają z miejscowych warunków.

No, więc buduj, Marysiu, że obórki i chowaj dużo świń. abym tu w Warszawie nie narzekali z powodu słabego zaopatrzenia w mięso i tuszecz.

Lucjan Walas



Fot. WAF

i czytywała z nimi książki. Jakże to było dziecinnie, jakie książki, jakie dyskusje?

O, młoda nauczycielko! Znalazłaś sposób na starych. Zaciekałaś ich przez szkolne dzieci. I za ich pośrednictwem podsuwałaś książki starym gospodarzom i starym kobietom wiejskim. Te książki doprowadziły do waszej wzajemnej, bezpośredniej znajomości. Nawet wtedy, kiedyś się spotykali przygodnie na drodze czy w polu, podejmowali starzy chłopcy rozmowy o przeczytanych książkach. Ale nie potrudziłaś się, aby scharakteryzować tych pracujących chłopów, którzy dla książki znajdują czas i ochotę. Nie napisałaś,

kto jaki utwór czytał. Nie opisałaś, co każdy z nich mówił o swojej lekturze.

„Któż jak nie nauczyciel, pójdzcie z książką do wiejskich chat...”

Czyżby — młoda nauczycielko — te chaty wiejskie były dla ciebie studniami, w które wystarczy wrzucić książkę, jak skarb?

W tych chatach mieszkają ludzie, którzy działają i myślą, którzy przemieniają wieś i siebie. Ich głos, ich ocena, ich pytania i zyczenia — to nasza wielka siła ludowładca.

Budźż książką tę uśpioną wiekami siłę a nie racyzmy wsłuchając w jej głos. Zapomniałaś o najważniejszym obowiązku: sekretu-

Japonia wczoraj i dziś

(Dokończenie ze str. 1)

Coś Japonia. W samym Tokio ponad milion ludzi jest całkowicie, lub częściowo pozbawionych pracy. Pograżeni w nędzy Japonczycy sprzedają swoje dzieci do fabryk lub do domów publicznych. Dzieci od 6 lat zatrudnia się przy ciężkich pracach, płacąc im 10 proc. tego, co otrzymuje dorosły.

W kraju szaleje inflacja. Obieg banknotów przekroczył nienazwane dotąd rozmiary, sięgając 600 miliardów jen. Ceny nieustannie rosną, bo zanika produkcja pokojowa, bo główną jej część wywozi się do USA, pozostawiając ochłapy ludności japońskiej. W ciągu ostatnich dwóch lat ogólny wskaźnik cen wzrósł o 80 proc., a poziom płac nie ruszył niemal z miejsca. Ryż, główne pożywienie Japonczyka, jest o 25 proc. droższe niż w roku ubiegłym, ponad 30 proc. zarobku robotnika pożerają podatki, obracane na utrzymanie reżimu terroru i na zbrojenia amerykańskie.

Wies japońska niszczy. Miliony bezrobotnych to głównie olbrzymi nadmiar siły roboczej na wsi. 40 proc. rodzin chłopskich uprawia dalszą równą zaledwie połowie tsiobu (1 tsiobu = 0,9 ha), 53 proc. — działki o powierzchni od 0,5 do 2 tsiobu. Zaś 160 tysięcy bogatych chłopów i obszarników, a więc 2,5 proc. ogólnej ilości gospodarstw trzyma w swych rękach 40 proc. powierzchni uprawnej kraju. Podatki pożerają 45 proc. zbiorów. Resztę — przymusowe dostawy i lawinowo zwiększając cen na artykuły przemysłowe. Kiedy w r. 1950 ustalono cenę skupu na ryż w wysokości 5.200 jen za 1 koku (jedyn koku równa się 180 kg) okazano się, że urzędowo obliczony koszt produkcji 1 koku ryżu wynosi 5.470 jen.

Robotnik i chłop, cała pracująca Japonia płaci głodem i nędzą za gra-

bieżącą politykę USA i awanturniczo rządów Yosydy, jak medawno pisał do „Wielką Japonię”. Zbrojenia niszczy kraj. Zoldaków wciwcy się do nowych, ludobójczych wyucznow.

Alle Japonia — to 37 milionów robotników. To miliony chłopstwa pracującego. To inteligencja pracująca i studenci. Likwidowane są pisma postępowe. Przewodcy partii komunistycznej są więzieni. Związki zawodowe rozwijające. A jednak lud pracujący miast i wsi mimo terroru, mimo istic hilerowskich metod, stosowanych przez amerykańskich kolonizatorów i marionetkowy rząd Yosydy, walczy biernym i czynnym oporem przeciwko remilitaryzacji swego kraju, przeciwko realizacji haniebnej umowy z San Francisco. Potężne strajki robotnicze wstrząsają posadami rządów kapitalistycznych w Japonii. Ostatnio 1 milion robotników podjęło demonstracyjny strajk w obronie swoich praw. Tysiące robotników bojkotuje produkcję broni. Chłopi odmawiają w nieletnich okręgach uprawy ziemi. Studenci japońscy solidaryzują się z walką proletariatu. Inteligencja pracująca coraz powszechniej walczy czynem, słowem i piórem o wolność Japonii, o pokój. Szeroki front narodowej walki walczy coraz więcej mieszkańców wszystkich miast i wsi japońskich, wszystkich patriotów japońskich. Już ponad 6 milionów Japonczyków podpisało apel Światowej Rady Pokoju. Profesor Ikeno Cjama, otrzymując Międzynarodową Stalinowską Nagrodę Pokoju, jako symbol niezłomnej woli narodu Japonii, który będzie bronił najwęższych wartości ogólnoludzkich i ogólnonarodowych.

Przyszłość należy do takiego narodu.

Tadeusz Orlewicz

